

Magia życia

Blake Jennifer

Książka V z Rodzina Benedictów



calibre 0.9.43

Jennifer Blake

Magia Śycia

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Kobieta pojawiła się znikąd.

W jednej chwili Adam Benedict widział w świetle reflektorów auta tylko wyboistą, krętą drogę, w następnej jego oczom ukazała się zjawiskowa postać, prawdziwa bogini. Dumnie wyprostowana stała

pośrodku drogi, długie włosy powiewały lekko na wietrze, zaś poły srebrzystego jedwabnego płaszcza

rozchylały się, ukazując cudowne kształty nagiego ciała.

Nacisnął gwałtownie hamulec i wpadł w poślizg. Z najwyższym wysiłkiem zapanował nad autem, o milimetry omijając nieznaną, co graniczyło z prawdziwym cudem, jednak samochód z impetem wylądował w rowie. Na szczęście Adam miał zapięte pasy, bo w przeciwnym razie mogło się to dla niego źle skończyć.

Przez długą chwilę siedział w bezruchu, zaciskając na kierownicy pobielające dłonie. Serce waliło mu jak oszalałe. Wreszcie wziął się w garść i wysiadł z auta. Na szczęście rów nie był zbyt głęboki, więc

terenówka z napędem na cztery koła powinna sama, bez brania na hol, wydostać się na drogę.

Adam zamknął drzwi i ruszył poboczem w kierunku, z którego nadjechał. Promienie księżyca oświetlały opustoszałą drogę. Po nieznanym nie było ani śladu, zniknęła równie nagle, jak się pojawiła. Noc była ciepła, w powietrzu unosiły się intensywne zapachy wczesnego lata. Polne kwiaty,

śywiczne aromaty, podmuchy przyjaznego wiatru. Szedł powoli, wypatrując wśród drzew

zjawiskowej postaci. Wsłuchiwał się w nocną ciszę w nadziei, że usłyszy kroki, trzask łamanych gałązek, szelest liści, pokrzykiwanie spłoszonych ptaków.

Nie należał do osób, którym przydarzały się takie rzeczy, nie miał przywidzeń. S tupał twardo po

ziemi, kierował się logiką, wierzył w to, co mógł zobaczyć i dotknąć. Rzadko zdarzało mu się fantazjować, nastawiony był na konkret, dlatego teŜ nie przyjmował do wiadomości, Ŝe kobieta mogła

być jedynie wytworem jego wyobraźni. Z pewnością była istotą z krwi i kości, wyszła na drogę prosto

przed maskę jego auta i cudem uniknęła śmierci. Tylko gdzie się podziała? I co próbowała zrobić?

Zatrzymać go, rzucając mu się pod koła?

Pokręcił głową z niedowierzaniem. Ryzyko utraty Ŝycia czy choćby kalectwa było zbyt wielkie.

Zresztą nikt nie wiedział o jego wyprawie, bo zjawił się tu zamiast Roana: Detektyw Jack Whitaker

był przekonany, Ŝe Adam zleci to zadanie swemu kuzynowi Roanowi Benedictowi, szeryfowi Tunica

Parish. Tymczasem sam postanowił złoŜyć półoficjalną wizytę kobiecie, która mieszkała na końcu tej

krętej, leśnej drogi. Po pierwsze dlatego, Ŝe czuł się zmęczony Nowym Orleanem i chciał choć na

trochę wyrwać się w rodzinne strony, zwłaszcza Ŝe za parę dni miał się tam odbyć coroczny zjazd

rodzinny. Po drugie Jack, choć był dobrym kolegą i przyzwoitym człowiekiem, lubił się wysługiwać

innymi, by dojść do celu, nie wkładając w to zbyt wiele pracy. Dlatego Adam z wrodzonej przekory

nie raz robił mu na złość, po swojemu wykonując jego polecenia. Poza tym raz na jakiś czas lubił uciec

od komputera, wyjść do ludzi, pooddychać świeŜym powietrzem. Nie przewidział jednak, Ŝe na ciem-

nej, leśnej drodze przyjdzie mu bawić się w kotka i myszkę z niepoczytalną kobietą.

Musiał sam przed sobą przyznać, Ŝe zrobiła na nim niezwykle wraŜenie. Jej ciało, widoczne spod

srebrzystego płaszcza, nie tylko zachwycało swą doskonałością, ale wzbudzało najpotężniejsze pragnienia.

Przez moment zwątpił w swoje zmysły. MoŜe faktycznie była tylko wytworem jego wyobraźni?

Szybko przywołał się do porządku. Nie miewał omamów, widział ją na własne oczy, stała tam, pośrodku drogi. Tylko, do licha, gdzie się podziała?!

Zawrócił do auta, wsiadł i z niemałym trudem wyjechał z rowu na drogę. Parę minut niespiesznej jazdy wystarczyło, by dotrzeć przed rozłożysty wiktoriański dom z licznymi oknami mansardowymi oraz wieżyczką skrytą pod olbrzymim dębem. W kilku oknach na poddaszu paliło się światło, co sugerowało, że mimo późnej pory ktoś jeszcze czuwa.

Przez moment zastanawiał się, czy powinien, wbrew wpojonym mu w dzieciństwie zasadom, niepokoić mieszkańców po dziewiątej wieczorem. Nowy Orlean był miastem, które nie kładło się spać, lecz w Tum-Coupe obowiązywały bardziej staroświeckie zasady. Uznał jednak, że z uwagi na powagę misji nie musi przejmować się lokalnym savoir-vivre'em.

Wysiadł z samochodu, podszedł do drzwi wejściowych i głośno zastukał. Gdy przez długą chwilę panowała cisza, zaczął się obawiać, że został zignorowany, jednak wreszcie rozległy się kroki w holu.

Drzwi otwarły się z impetem. Za progiem stała bogini, która nie tak dawno zabiegła mu drogę.

Rozpoznał ją natychmiast po włosach, rysach twarzy i pełnym wyższości spojrzeniu. Zamiast srebrzystego płaszcza miała na sobie wytarte dżinsy i białą bawełnianą koszulkę, włosy zaś splotła w

gruby warkocz. Delikatna poświata, jaka otaczała ją na drodze, znikła, za to w oczach pojawił się wyraz zmęczenia. Mimo to Adam nawet przez moment nie miał wątpliwości, że to ona.

- A więc tu się pani ukryła - stwierdził z satysfakcją.

Lara Kincaid przypatrywała się gościowi z nieskrywaną niechęcią. Był tak wysoki i mocno

zbudowany, że blokował wejście, zaś siła jego osobowości wręcz przytłaczała. Światło, które padało

za jej pleców, rozświetlało kosmyki jego włosów, a tak że podkreślało głęboki odcień niebieskich,

wpatrzonych w nią oczu. Nie, dotąd się nie spotkali, jednak męska twarz o wyrazistych rysach

wydawała się jej dziwnie znajoma. Otaczała go czerwona aura, charakterystyczna dla ludzi

odważnych, gdzieś przechodząca w niebieską, co świadczyło o wierności. Lara bezbłędnie

odczytywała znaki niewidoczne dla innych. Rysy twarzy przypominały jej kogoś, z kim kiedyś

musiała się zetknąć, lecz takiej aury jeszcze nigdy nie widziała, a to przesądzało sprawę. Ten mężczyzna był dla niej kimś zupełnie obcym. Wieloletnie doświadczenie podpowiadało jej wprawdzie, że nie powinna się go obawiać, jednak instynkt nakazywał ostrożność.

- Nie rozumiem, o czym pan mówi - stwierdziła lodowatym tonem.

- Zniknęła mi pani z oczu, jakby rozpułyła się w powietrzu. Nie mam pojęcia, jakim cudem tak szybko tu pani dotarła.

- To jakieś nieporozumienie, panie ...

- Hm, nieporozumienie ... Może jednak mi pani powie, o co w tym wszystkim chodzi? Przecież mogłem panią zabić albo złamać sobie kręgosłup, wpadając z takim impetem do rowu.

- Nie mam pojęcia, o czym pan mówi. Czy mogę w czymś pomóc? A może ma pan zwyczaj odwiedzać po nocy nieznajome kobiety i prowadzić z nimi dziwne rozmowy?

Musiał go zirytować jej pełen wyższości ton, a także brak chęci do współpracy, bo narodził się i przybrał oficjalną postawę.

- Nazywam się Adam Benedict, szukam Lety Kincaid. Czy to może pani?

- A jeśli tak?

- Muszę ustalić miejsce pobytu pani kuzynki, Kim Belzoni.

Oczywiście. Jak mogła się tego nie domyślić?

Niepotrzebnie go zdenerwowała, mogło to zaszkodzić sprawie, ale jego wizyta tak bardzo wytrąciła ją

z równowagi, że przez chwilę nie myślała logicznie.

- Dlaczego interesuje się pan moją ciotką?

- Kim Belzoni jest poszukiwana z powodu śledztwa, które ma ustalić okoliczności śmierci jej męża.

Będziemy wdzięczni za wszelkie informacje, które pomogą nam ustalić miejsce pobytu pani ciotki.

- Niestety, nie zasłuży na pana wdzięczność, bo nie mam pojęcia, gdzie Kim obecnie przebywa. Nie wiem też, czy chciałabym ją widzieć w więzieniu.

- A więc kontaktowała się z panią - stwierdził z satysfakcją w głosie.

- Tego nie powiedziałam.

- Oczywiście, jednak łatwo się domyślić, że wie pani o jej kłopotach.

Zanim zdążyła się zdecydować, co ma odpowiedzieć, przekroczył próg i korzystając z jej dekoncentracji, przeszedł do niedużego holu. Lara odruchowo cofnęła się, by go przepuścić, i dopiero po chwili zorientowała się, co zrobiła.

- Proszę nie marnować czasu, naprawdę nie jestem w stanie panu pomóc.

Jego usta lekko rozchyliły się w kpiącym uśmiechu.

- Może tak, a może nie. Ale za to ja mógłbym

pomóc pani.

- Wątpię. Jest późno, więc muszę poprosić pana o opuszczenie mojego domu - stwierdziła stanowczo.

- Nie tak szybko. - W ogóle nie przejął się jej "prośbą". - Musimy o czymś porozmawiać. Co pani zrobi, gdy zjawią się ludzie wysłani przez rodzinę Belzonich? Czy ich pani tak po prostu wpuści do środka?

- Nie wpuściłam ...

- Nie zrobiła pani nic, by mnie powstrzymać.

- Bo wiem, że nie jest pan groźny.

Wreszcie zdołała go zbić z tropu.

- Naprawdę? A skąd ta pewność, jeśli można spytać?

- Może umiem czytać w myślach? - Spojrzała na niego wyzywająco.

Już dawno odkryła, że wiele prawd można przemycić pod płaszczykiem sarkazmu.

- Czyżby? W takim razie proszę mi powiedzieć, co tu robię.

Czy powinna dać się sprowokować? A co będzie, jeśli sprowadzi to na nią następne kłopoty? Powinna

się wycofać, a jednak coś pchało ją do tego, by podjąć wyzwanie.

- Przysłała tu pana policja, choć nie jest pan policjantem. Należy pan do tak zwanych Złych Benedictów z Tum-Coupe. Przywykliście do tego, że na tym terenie wolno wam wszystko, uważacie to za swoje święte prawo. Ma pan dwóch braci, trzeci zmarł w dzieciństwie. Wychowywał się pan piętnaście kilometrów stąd w rodowej siedzibie w Grand Point. Pańskim zdaniem ta rezydencja za bardzo przypomina mauzoleum, więc woli pan raczej mieszkać w swoim nowoczesnym apartamencie w Nowym Orleanie.

- Skąd pani. ... ?

Gestem nakazała mu milczenie. Jednocześnie zamknęła oczy, by odgrodzić się od wszelkich bodźców,

które mogłyby zaburzyć jej wizję.

- Nie jest pan Sonaty, nie ma pan też obecnie narzeczonej ani przyjaciółki, bo wszystkie kobiety, z którymi coś pana łączyło, nie mogły się pogodzić z tym, że przez większość czasu ignorował je pan, koncentrując się na pracy. Jednocześnie lubi pan towarzystwo kobiet, zwłaszcza gdy łaknie pan rozrywki lub dochodzi do głosu pański instynkt opiekuńczy. Nieraz zastanawiał się pan nad małżeństwem, ale nigdy nie zyskał pan pewności, czy akurat ta kobieta, z którą pan aktualnie jest, okaza się tą właściwą.

- Zaraz, zaraz ...

- Szanuje pan moją ciotkę, ale uważa pan, że w więzieniu byłaby bezpieczniejsza. Można nawet powiedzieć, że się pan o nią martwi, co nie jest dla pana typowe. Świadczy o tym fakt, że osobiście pan się tu zjawił. Jest pan ... - Urwała, czując się niezbyt komfortowo z wizją, jaka roztaczała się przed jej oczami.

- Proszę nie przerywać. Nie mogę się doczekać, kiedy usłyszę wszystkie szczegóły, które wyszperała pani na mój temat.

- Jest pan uzbrojony. - Otworzyła oczy. - Ma pan pistolet magnum 357 ukryty w dodatkowym schowku w skrytce przed fotelem pasażera. Tam również leży pozwolenie na broń.
- Skąd pani to wszystko wie? Kto pani o tym powiedział?
- Nikt. - Wzruszyła ramionami. - W tej okolicy jest pan osobą powszechnie znaną, fizycznie przypomina pan innych Benedictów, łatwo więc ustalić, kto pan zaczął. Jednak poza oczywistymi szczegółami, resztę po prostu wiem sama z siebie.
- Nie dam się na to nabrać.
- Pana sprawa - odparła spokojnie, bo brak wiary w jej umiejętności nie był niczym nowym. Szczególnie nieufni byli mężczyźni, którym zwykle nie odpowiadała świadomość, iż ktoś mógłby wiedzieć o nich więcej, niż sobie tego życzą.
- Zna pani pewnie któregoś z moich braci. Możliwe Claya? Nie, raczej jego siostrę Janę. A do tego ma pani kontakty w Departamencie Policji w Nowym Orleanie.
- Pudło. - Uśmiechnęła się z lekką drwiną.
- Urodziłam się w Santa Fe, przeprowadziłam tu dopiero parę miesięcy temu po śmierci babci, która zostawiła mi ten dom w spadku. Właściwie to zostawiła go mojej mamie, ale ona poprzysięgła sobie, że nigdy więcej choćby na moment nie zajrzy do Luizjany. Ponieważ czuję się związana z przeszłością mojej rodziny, postanowiłam się tu osiedlić.
- Ach, już wiem! Jest pani wnuczką babci Newton, którą powszechnie uważano za ...
- Czarownicę - wpadła mu w słowo. - Tak, zgadza się.
- Niezupełnie. Wszyscy uważali ją za wariatkę, bo nazywała siebie czarownicą i mamrotała dziwne zaklęcia.
- Uprawiała białą magię, choć nigdy tego nie określała w ten sposób, nawet kiedy mama przycisnęła ją do muru. Po prostu wypowiadała swoje zaklęcia i przygotowywała eliksiry, które miały sprowadzać na ludzi dobro, a nie zło. Oprócz tego hodowała kury i sprzedawała okolicznym mieszkańcom jajka i

zioła, a potem otworzyła sklep z akcesoriami do szycia narzut, kap i kołder, który nadal prowadzę w tym domu. - Wskazała pomieszczenie na prawo od wejścia, pełne tkanin we wszystkich kolorach tęczy oraz katalogów.

- Kiedyś dała Esther Goodman eliksir, który miał sprawić, że się w niej zakocham - stwierdził z wyrzutem w głosie.

- Naprawdę? I jak? Zdziałał?

- Tak, na szczęście tylko przez chwilę. Kiedy zaczęła się przechwalać, co zrobiła i że teraz ma mnie w

swej mocy, czar prysł. Mieliśmy wtedy po piętnaście lat, teraz Esther jest Soną hydrauliką. Tak się skończyła jej przygoda z magią.

- Cóż, ma ona swoje złe i dobre strony, a jej działanie jest zależne od wielu subtelnych czynników.

- A wie to pani z własnego doświadczenia, bo odziedziczyła pani nie tylko dom babci Newton, lecz również jej talenty i klientelę? - spytał drwiąco.

- Owszem.

- W takim razie proszę mi powiedzieć, co teraz myślę. Właśnie w tej chwili.

Lara nie cierpiała takich wyzwań, między innymi z tej przyczyny, że jej zdolności czytania w myślach nieraz zawodziły w chwilach napięcia. Wizje nawiedzały ją zwykle wtedy, gdy najmniej tego chciała,

natomiast kiedy sama starała się je przywołać, przekornie nie nadchodziły. Tym razem jednak musiała

spróbować choćby z tego powodu, że dzięki temu odkładała w czasie dalsze pytania dotyczące ciotki.

Znów zamknęła oczy, otwierając jednocześnie umysł na przekaz płynący od Adama Benedicta. Na początku nie widziała nic poza jego niebiesko-czerwoną aurą. Nagle ujrzała coś srebrzystego. Był to jedwabny płaszcz, który ją otulał. Poły rozchyłały się na wietrze, ukazując nagie ciało.

Świecił księżyc w pełni, rzucając srebrne refleksy na jej rozpuszczone, długie jasne włosy. W tej wizji

Adam Benedict podszedł do niej, objął w talii i przyciągnął do siebie. Jego rozgrzane ciało emanowało

namiętnością. Odchyliła głowę. Ich spojrzenia spotkały się. Zdawało jej się, że mijają całe wieki, a czas odmierzało jedynie przyspieszone bicie ich serc. Wreszcie powoli pochylił się i pocałował ją.

Jego miękkie wargi miały zaskakująco słodki smak. Zatraciła się w zmysłowej pieśczoście ... i dopiero

po chwili zorientowała się w powolnej wędrówce jego dłoni, od jej talii ku górze, ku piersiom ...

Nabrała gwałtownie powietrza i odskoczyła w tył. Otworzyła oczy, mierząc go pełnym oburzenia wzrokiem. Z zaskoczeniem odnotowała fakt, że on tak miał zamknięte oczy. Najwyraźniej dopiero się zorientował, że się odsunęła, bo uniósł nagle powieki i przypatrywał się jej zmieszany.

- Całował mnie pan! Dotykał! Jak pan mógł?!

- Ja ... - Jego oczy pociemniały.

- Robił to pan w myślach. Niech pan się nie wypiera!

Uśmiechnął się kpiąco.

- W takim razie proszę mnie pozwać za molestowanie. Tylko niech pani nie zapomina, że to nie ja zacząłem tę zabawę.

- Jak to nie pan? A niby kto?!

- To nie ja biegałem nago po lesie, przyprawiając nieszczęsnego kierowcę o palpitanję serca. To nie ja

spowodowałem wypadek drogowy, którego padłem ofiarą i tylko cudem uniknąłem kalectwa.

- Owszem, widziałam pana w samochodzie.

Przyznaję te, że stałam na drodze, przez co mogłam spowodować na pana nieszczęście, ale na pewno nie byłam ... w takim ... stanie.

- Chce pani powiedzieć, że nie była naga?

Przecież widziałem to na własne oczy!

- Niemożliwe! Nie mógł pan tego widzieć.

- MoŜe mi pani nie wierzyć, ale w przeciwieństwie do pani nie Ŝyję w świecie fantazji i jeśli coś widzę, istnieje to naprawdę. A na jawie nie zwykłem spotykać zjaw w postaci nagich kobiet. Przez dłuŜszą chwilę przypatrywała mu się w milczeniu. Nie była wtedy naga. Owszem, wiedzona instynktem wyszła na drogę, poniewaŜ wyczuła zbliŜające się niebezpieczeństwo, nie wiedziała jednak, kto nadjeŝdŜa. Dopiero gdy dojrzała Adama Benedicta przez przednią szybę auta, poczuła, iŜ nie jest w stanie się ruszyć, dlatego stała jak zaklęta pośrodku drogi. Przez krótką chwilę wyobraŜała sobie, jak by to było, gdyby znalazła się naga w jego obecności ...

CóŜ, była to noc świętojańska, kiedy czarownice rzuciły swe czary, a więc mogło się zdarzyć wszystko. Nie poszła w ślady matki ani babci i nie praktykowała magii, nie miała teŜ zwyczaju . tańczyć nago w świetle księŜyca, a jednak coś kazało jej wybiec do lasu w tę jedyną w roku, wyjątkową noc. Jeszcze bardziej wyjątkowy był fakt, iŜ Adam Benedict, człowiek zdawałoby się kompletnie niepodatny na podobne stany, odebrał jej emocje, które przyjęły postać tak dziwnej fantazji. Wprawiło ją to w przeraŜenie, bo skoro potrafił wniknąć w jej intymne myśli, znaczyło to, Ŝe moŜe zrobić z nią, co tylko zechce, zmusić, czy wręcz zaprogramować do wszystkiego, ona zaś nie będzie potrafiła przed nim się obronić.

Na szczęście nie mógł zdawać sobie sprawy z władzy, jaką nad nią posiadał. Odrzucał wszystko' co niematerialne, nie wiedział więc, Ŝe dzięki swym nieujawnionym telepatycznym i empatycznym zdolnościom potrafiłby wykorzystać ją do swoich celów. Dla własnego bezpieczeństwa musiała uczynić wszystko, by nigdy się o tym nie dowiedział.

By nie . zgłębił wiedzy, odrzucanej przez większość naukowców, wykpiwanej i lekcewaŜonej, choć przecieŜ naleŜy ona do naszej rzeczywistości. SĄ ludzie obdarzeni absolutnym słuchem, dzięki czemu mogą zyskać sławę i szacunek jako wielcy muzycy. KaŜdy moŜe brzdąkać na gitarze, lecz nigdy nie osiągnie doskonałości Carlosa Santany, bo tkwi w nim jedynie ślad muzycznej wielkości. SĄ inni, obdarzeni nadzwyczajną zdolnością postrzegania świata i przetwarzania go w plastyczne wizje.

Każdy może kreślić kształty na papierze czy płótnie, lecz nigdy nie osiągnie doskonałości Picassa, bo

tkwi w nim jedynie ślad malarskiej wielkości. Jednak we wszystkich dziedzinach życia zdarzają się fenomeny i geniusze.

Są wreszcie tacy, którzy potrafią czytać w myślach innych i współprzeżywać z nimi, tworzyć wizje na

jawie. Każdy może tego próbować, co więcej, najpewniej w każdym człowieku istnieje ślad telepatycznych i empatycznych sił, czego nieraz można doświadczyć w kontaktach z osobami szczególnie bliskimi, lecz prawdziwą moc posiadają tylko nieliczni. Nie nazywa się ich jednak geniuszami czy fenomenami, natomiast wyzywa od szaleńców, oskarża o oszustwo lub kontakty z siłami nieczystymi.

ROZDZIAŁ DRUGI

Zdolności te, jak wszelkie inne, mogły służyć dobru lub złu, czego Lara była doskonale świadoma.

Czy może być większa moc niż kontrolowanie i wpływanie na cudze myśli i emocje? Dlatego postanowiła jak najszybciej pozbyć się Adama Benedicta, by raz na zawsze zniknął zarówno z jej posesji, jak i z życia w ogóle. Była przerażona, bo starcie dwóch osobowości obdarzonych telepatycz-

nymi zdolnościami mogło być nieobliczalne w skutkach, a dla niej wprost zgubne. Przeczynała bowiem, że Adam Benedict może zyskać nad nią ogromną władzę.

- Jest środek nocy - stwierdziła z naciskiem. - Proszę wrócić innym razem. Jutro albo jeszcze lepiej pojutrze.

- Z przyjemnością sobie pójdę, jeśli powie mi pani to, co muszę wiedzieć.

- Niestety, nie mogę panu w żaden sposób pomóc.

Nie ruszył się z miejsca, nie spuszczał z niej wzroku.

- Wydaje mi się, że jednak może pani. Jeśli pani ciotki rzeczywiście tu nie ma, niech mi pani przynajmniej powie, dokąd mogła pójść, u kogo najpewniej szukała pomocy.

Nawet gdyby chciała go wypchnąć za drzwi, nie dałaby rady, a zresztą taka próba mogłaby wywołać wraŜenie, Ŝe ma coŝ do ukrycia. Co wiêc powinna zrobiêc?

- JuŜ panu mówiłam, Ŝe mieszkałam w Nowym Meksyku. Ciocia Kim odwiedzała nas tam od czasu do czasu, a tu zajrzała dwa razy, ale nigdy nie byłam w jej domu w Nowym Orleanie. Nic nie wiem o jej Ŝyciu, nie znam jej przyjaciół, nie wiem, kogo mogłaby poprosiêc o pomoc.

- Byê moŜe. Jednak rozmawiała pani z nià, i to całkiem niedawno, wiêc wie pani o niej wiêcej niŜ ja.

Zresztà moŜliwe, Ŝe posiada pani istotne informacje, tylko nie jest pani tego Ŝwiadoma. Dlatego najlepiej byłoby, gdyby zechciała pani odpowiedzieêc na kilka pytañ.

- Wàtpiê, czy okazałoby siê to przydatne.

Naprawdê chciałabym, Ŝeby pan juŜ poszedł.

- W takim razie otrzyma pani wezwanie do sàdu - stwierdził oschłym tonem. - A takŜe nakaz rewizji, co oznacza bałagan i zamieszanie, a na pewno wolałaby pani tego uniknaêc.

Było to ostrzeŜenie, najpewniej pierwsze i ostatnie. CòŜ, nie miała wyjŝcia, musiała siê zgodziêc na to

nieformalne przesłuchanie, by uniknaêc powaŜniejszych kłopotów. Zresztà i tak nie zdołałaby siê pozbyêc Benedicta, bo tkwił w holu niczym kamienny słup. Powinna byêc na niego wŝciekła za to nagłe wtargniêcie do jej domu i apodyktycznà postawê, no i była, zarazem jednak poczuła nieprzepartà chêêc i by go poznaêc, zbliŝyêc siê do niego. Z doŝwiadczenia wiedziała, Ŝe ignorowanie tego typu instynktownych odczuêc nie ma sensu i prowadzi tylko do kolejnych kłopotów.

_ Przepraszam... - Przywołała na twarz uprzejmy uŝmiech. - Przepraszam, jeŝli wydałam siê panu niechêtna do wŝpółpracy. T o wszystko dlatego, Ŝe bardzo siê martwiê o ciociê Kim.

_ Słusznie. Znalazła siê w sytuacji nie do pozazdroŝczenia.

_ Zdaje siê, Ŝe wie pan o tym znacznie wiêcej niŜ ja. MoŜe opowie mi pan wszystko przy filiŝance

kawy albo drinku?

Z bijącym sercem czekała na odpowiedź.

- Chętnie napiję się kawy - odparł po namyśle i spoglądając na nią podejrzliwie.

- Świetnie. - Gestem zaprosiła go do salonu. - Proszę się rozgościć, a ja zaparzę kawę.

- Z przyjemnością dotrzymam pani towarzystwa w kuchni.

Oczywiście nie miała złudzeń, że chodziło mu o to, aby nawet na moment nie stracić jej z oczu. W sumie dobrze się składało i bo ona również wolała nie spuszczać z niego wzroku.

- Miło mi. Obawiałam się, że proponując to panu, sprzeniewierzę się zasadom obowiązującym w tych

tak bardzo przywiązanych do tradycji stronach.

- Owszem, jesteśmy dość konserwatywni, ale szcycimy się też gościnnością, więc zaproszenie do kuchni traktujemy jak coś normalnego co nie uchybia konwenansom.

Szedł krok w krok za nią, a czuła na plecach jego oddech, co bardzo ją deprimowało: Jego bliskość sprawiła, iż była świadoma każdego swego ruchu.

- Przeprowadziła się tu pani sama?

- Jeśli pyta pan, czy mam kogoś, to odpowiedź brzmi: nie. W tej chwili nie jestem z nikim związana.

Ale dość o mnie. Może mi pan powiedzieć, z jakiego powodu interesuje się pan ciotką Kim? Jest pan prywatnym detektywem?

- W jakimś sensie. Specjalizuję się w odzyskiwaniu danych elektronicznych.

- Ciekawe zajęcie.

- To bardziej hobby niż zawód. Jestem wolnym strzelcem, pracuję w domu. Można powiedzieć, że jestem na emeryturze.

Rzuciła mu ukradkowe spojrzenie, gdy przechodzili przez wahadłowe drzwi prowadzące do dużej, tradycyjnie wyposażonej kuchni.

- Na emeryturze? Nie dałabym panu więcej niż trzydzieści pięć lat. To chyba trochę za wcześnie na

emeryturę?

- Nie, jeśli jest się właścicielem patentu z dziedziny światłowodów.

Rozumiem. Zaawansowana technika. A odzyskiwanie danych elektronicznych oznacza pewnie wyciąganie informacji, które ktoś chciałby ukryć w komputerze?

- Można to tak ująć ...

- A na ile to legalne? Czy jest pan może jednym z tych hakerów, którzy włamują się do tajnych baz danych?

- Powiedzmy, że trafiają mi się różne komputery i różne bazy danych, ale zajmuję się też odwrotną stroną tego procesu, to znaczy tworzeniem skutecznych zabezpieczeń.

- Wszystko pięknie, ale to nadal nie wyjaśnia, jak pan do mnie dotarł.

- W bazach medycznych figuruje pani jako na j bliższa krewna Kim Belzoni.

- Proszę, pierwsze słyszę - mruknęła, wsypując kawę do młynka.

- Musiała kogoś wpisać do formularzy medycznych. Może uznała, że jest jej pani bliższa niż pani matka.

Na pewno bliższa uczuciowo, przyznała w duchu. Widywały się wprawdzie rzadko, ale Lara zawsze darzyła ciotkę sentymentem. Młodsza siostra matki mieszkała z nimi przez jakiś czas jeszcze jako nastolatka, a różnica wieku między siostrami wynosiła dwanaście lat, trudno było o prawdziwą zażyłość. Matka Lary, nastawiona krytycznie do mężczyzn i świata rozwódka, nie umiała znaleźć wspólnego języka z pełną energią, żywiołową Kim. W efekcie to Lara i jej młoda ciotka stanowiły zgrany duet, raz na jakiś czas spiskujący przeciwko głowie rodziny. ~ Jeśli sprawdzał pan dane ciotki w bazie medycznej, powinien był pan dotrzeć do informacji o jej ostatnim pobycie w szpitalu.

- Owszem, wiem, że to mąż ją tam umieścił. Ale skoro pani także zna tę sprawę, znaczy to, że zna pani kłopoty Kim Belzoni.

- Wiem coś niecoś - przyznała niechętnie. - Na przykład, że śmiertelnie się go bała.

- To się rozumie samo przez się. Mimo to nie miała prawa go zamordować. - Spojrzał jej prosto w oczy.

- A w obronie koniecznej?

- Tak to właśnie pani przedstawiła?

Nie dała się złapać na ten prosty podstęp. Benedict próbował wyciągnąć od niej, o czym i kiedy rozmawiały.

- Nie wyobrażam sobie, żeby ciocia Kim mogła pociągnąć za spust z innego powodu.

- Dlaczego?

Wlała wodę do ekspresu.

- Gdyby pan ją znał, nie zadawałby pan takich pytań. Nie ma silnej osobowości, zawsze starała się unikać kłopotów, a nie je mnożyć.

- Unikać kłopotów, czy może uciekać od odpowiedzialności?

- Proszę nie wkładać w moje usta słów, których nie wypowiedziałam - odparowała ostro, choć jej irytacja brała się równieś stąd, że był bardzo bliski prawdy.

Ciotka Kim po mistrzowsku uciekała od trudnych sytuacji. Gdy coś się psuło, zwłaszcza w jej małżeństwach, pakowała manatki i wyjeżdżała. A że dziwne, że tym razem tak długo wytrzymała.

- A więc dokąd zwykle ucieka?

- Nie dokąd, tylko raczej z kim. Ciocia Kim to niezwykle atrakcyjna kobieta.

- To znaczy, że zawsze znajduje sobie mężczyznę, który towarzyszy jej w kolejnej ucieczce. Czy tak?

- Jeśli tego chce ...

- A z reguły chce, jak rozumiem?

- Zwykle tak.

Ciotka zjawiała się w towarzystwie starszych mężczyzn o pretensjonalnych manierach, młodych buntowników lub też kowbojów, którzy więcej mieli w spodniach niż pod kapeluszem. Choć tak

róŝni, łączyło ich jedno: dzięki nim ciotka odŝywała, bo czuła się bezpiecznie, a takŝe powracała jej wiara w siebie, w to, ŝe wciąż jest atrakcyjną, poŝadaną kobietą. A tego najbardziej potrzebowała.

- Sugeruje pani, ŝe kolejny kochanek mógł pomóc jej zostać wdową? - Przypatrywał się Larze spod półprzymkniętych powiek.

- Czemu nie? T o całkiem moŝliwe.

- A przy tym jakie wygodne ... Chyba ŝe ktoś go do tego namówił.

- Och, to juŝ przesada - rzuciła ostro. - Niby szuka pan faktów, a bawi się w insynuacje.

Nie spuszczał z niej badawczego spojrzenia, gdy stawiała przed nim na stole talerz z róŝnymi słodkimi wypiekami.

- To chyba nie było jej pierwsze małŝeństwo, prawda?

- Piąte czy szóste, straciłam rachubę. Czyŝby baza danych, w której pan myszkował, nie zawierała takich informacji?

- Wymagająca kobieta - mruknął, nie wyjaśniając, czy chodzi mu o ciotkę, czy teŝ siostrzenicę.

- Moŝe. - Wzruszyła ramionami. - Lub nie potrafi się pogodzić z tym, ŝe rzeczywistość nie dorasta do jej marzeń.

- Albo nie lubi monotonii.

- Lub ma nadzieję, ŝe wreszcie spotka kogoś, kto spełni jej oczekiwania. - Oparła się plecami o kredens i skrzyŝowała ręce na piersiach.

Adam Benedict uŝmiechnął się drwiąco.

- Myśli pani, ŝe tym razem znalazła kogoś, kto sprosta jej marzeniom?

- Skąd mogę wiedzieć?

- Jednego nie rozumiem. Jeśli Belzoni był faktycznie takim draniem, ŝe zasługiwał na śmierć, czemu tak długo przy nim tkwiła. Przecieŝ juŝ dawno mogła trzasnąć drzwiami.

- Chcieć odejść to jedno, a zdobyć się na to, to całkiem inna sprawa. Pewnie bała się, że będzie ją ścigał. Nie raz groził, że ją zabije.

- Tak pani powiedziała?

- Nie w tych słowach, ale znaczyły właśnie to. Czy nie tak zwykle się dzieje w przypadku mężczyzn, którzy obrażają, maltretują i zastraszają swe żony?

- Zdarza się również, gdy mężczyźni próbują za wszelką cenę zatrzymać przy sobie żony, które kochają

ponad wszystko.

- To typowo męski punkt widzenia. Ale proszę mi powiedzieć, jaki szanujący się mężczyzna chciałby, żeby żona została z nim ze strachu?

- Taki, który nie może znieść myśli, że musiałby żyć bez niej - odparł, nie spuszczać z niej wzroku.

- Albo taki, który wolałby widzieć ją martwą, niż zgodzić się, by rozpoczęła nowe życie. Taki, dla którego duma znaczy więcej niż szczęście kobiety. Gdyby naprawdę ją kochał, chciałby dla niej jak najlepiej i zrobiłby wszystko, by jej nieba przychylić. Gdyby jednak tak postępował, ciocia nie miałaby najmniej szczych powodów do ucieczki z domu.

- Ludzie rzadko kierują się rozsądkiem w takich sprawach, a jeszcze rzadziej postępują w altruistyczny sposób.

- To jeszcze nie znaczy, że nie powinni.

- Idealistycznie podchodzi pani do życia, ale w pełni to popieram. Czy dlatego do tej pory nie wyszła pani za męża? Ma pani zbyt wielkie oczekiwania i boi się bolesnego zawodu?

- Kto mówi, że nie jestem mężatką?

- Moja baza danych. Czyżby się myliła?

Nie miała najmniejszego zamiaru przyznawać się do tego, ale z powodu postawy ciotki, która skakała z kwiatka na kwiatek, wciąż czekała na tego jednego jedyne. Jeśli głęboka, trwała miłość była tylko

mrzonką, wolała umrzeć w samotności, niż ugrzęznąć w całkiem nieudanym czy choćby jakimś związku. Kompromisy nie leżały w jej naturze.

- A pan? - rzuciła ostro. - Czyżby przez tyle lat nie spotkał pan właściwej kobiety?

Zaskoczyła go, gdy tak zdecydowanie odrzuciła piłeczkę. Ale cóż, sam się o to prosił.

- Dobrze, cofam pytanie, było zbyt prywatne.

Mimo to powiem pani, czego szukam w kobiecie. Moja idealna partnerka powinna się śmiać razem ze

mną, ale też pozwolić, bym trzymał ją w ramionach, gdy płacze. Powinna, tak jak ja, cenić miłość, rozsądek, tolerancję, współczucie, nie bać się pracy, ale też cieszyć się wypoczynkiem, gdy przychodzi na to czas. Potrzebuję kobiety, która umiałaby spojrzeć na nasze wspólne życie jak na największą w świecie przygodę.

Mimo że na moment zakłuło ją w sercu, roześmiała się z lekką kpina.

- I pan twierdzi, że to ja jestem idealistką.

- Jestem pewien, że taka kobieta gdzieś istnieje i że w końcu ją znajdę - oświadczył z przekonaniem.

- Pytanie tylko, czy ktoś taki zechce mieć ze mną cokolwiek do czynienia ...

Co ciekawe, nie wspomniał ani słowem o wyglądzie czy pochodzeniu wymarzonej partnerki. Na pewno jednak oczekiwał posągowej piękności pochodzącej z konserwatywnej, zamożnej rodziny, kobiety oddanej kościołowi i pracy charytatywnej, w dodatku zachowującej daleko idącą wstrzeźliwość seksualną. Z pewnością nawet by mu nie przyszło do głowy zainteresować się córką wyznawczyni filozofii New Age, wnuczką osławionej czarownicy, przez wielu nazywanej wariatką. Oczywiście nie znaczyło to, że była choć w najmniejszym stopniu nim zainteresowana. Uważała jedynie, iż dobór przyjaciół oraz ukochanych wiele mówi o człowieku.

Lara nalała kawę do filiżanek, potem spytała: - Proszę powiedzieć, dlaczego ktoś, kto wie o komfortowym życiu i ma nadzwyczaj wygórowane oczekiwania wobec ludzi, a dla zabicia nudy od czasu do czasu bawi się w informatyczne zagadki, tropi moją ciotkę?

- Jak to, czyŜby kryształowa kula tego pani nie zdradziła? - Uśmiechnął się kpiąco.

- Czasami lepiej zapytać wprost.

- TeŜ prawda ... A więc wcale jej nie tropię, tylko pomagam koledze. To nie przelewki, Kim Belzoni jest poszukiwana w związku z tajemniczą śmiercią jej męża. Nie zakładam, Ŝe to ona go zabiła, ale i tak byłoby lepiej, gdyby porozmawiała z Jackiem Whitakerem z Departamentu Policji w Nowym Orleanie. Szczególnie interesują go powiązania Belzoniego z mafią, w tym kilka podejrzanych transakcji. Jeśli pani ciotka zgodzi się na współpracę, być moŜe nie będzie musiała odpowiadać za morderstwo, ale na przykład za spowodowanie śmierci w wyniku obrony koniecznej. Zresztą, proszę mi wierzyć, będzie bezpieczniejsza w areszcie niŜ na wolności, gdzie moŜe ją dopaść rodzina męża.

- Naprawdę pan uwaŜa, Ŝe jej szukają?

- Zdziwiłbym się, gdyby było inaczej. Z pewnością pani ciotka teŜ o tym wie, bo inaczej by się nie ukrywała.

Nic dodać, nic ująć. Od dwudziestu czterech godzin, czyli od chwili pojawienia się ciotki w drzwiach

jej domu, ta niepokojąca myśl nie opuszczała Lary.

Ernesto Belzoni był bratankiem Dona Belzoniego, ojca chrzestnego nowoorleańskiej mafii. Miał bzika

na punkcie dyskrecji, dlatego chciał kontrolować Kim w kaŜdej sytuacji, mieć wpływ na to, dokąd chodzi, z kim się spotyka, w jaki sposób i gdzie korzysta z kart kredytowych. Nalegał, by zerwała kontakty zarówno z rodziną, jak i z dawnymi znajomymi oraz przyjaciółmi, a tych, z którymi wciąż się widywała, prześwietlił na wszelkie moŜliwe sposoby. Jeśli wracała do domu choćby pięć minut po

wyznaczonym czasie, zadawał jej dziesiątki szczegółowych pytań. Kara za odpowiedzi, które mu się nie podobały, była natychmiastowa i dotkliwa.

Ciotka Kim, co oczywiste, nie była przyzwyczajona do takiego traktowania. Jak wszystkie kobiety z rodziny Kincaidów ceniła sobie wolność i niezależność. W przerwach między kolejnymi

małżeństwa-

mi pracowała jako hostessa, piosenkarka, a nawet krupierka W kasynach Luizjany oraz Missisipi.

Czasem uciekała do Vegas czy Atlantic City, a przez jeden sezon pracowała na statku wycieczkowym,

lecz zawsze wracała na gościnne Południe.

Jako nastolatka Lara uwielbiała i podziwiała młodszą siostrę matki. Imponowało jej Sycie na walizkach, błyszcząca biŜuteria, głębokie dekolty wieczorowych sukien, dopracowana fryzura i luźne podejście do wszystkiego. Zmieniła jednak zdanie, gdy uwielbiana ciotka porzuciła drugiego męża, człowieka miłego i absolutnie bez zarzutu, a wraz z nim - rzecz nie do pojęcia - słodką, malutką córeczkę.

Po tym wydarzeniu Lara zupełnie się zmieniła, w przeciwieństwie do cioci Kim, która nadal Śyła z dnia na dzień i w mistrzowski sposób unikała ponoszenia konsekwencji swych decyzji. Wyszła jeszcze kilka razy za mąż, aŜ w końcu. poznała Ernesta Belzonię, co stało się w kasynie w Shreveport. Początkowe zauroczenie ustąpiło miejsca zaskoczeniu, gdy okazało się, Őe kaŜdy jej ruch jest monitorowany, a ze wszystkiego musi składać sprawozdanie. Nie buntowała się jednak w sposób otwarty, tylko zeszła do konspiracji. Umawiała się na sekretne randki, pod misternie wymyślonymi pozorami znikwała na kilka dni, dokładając wszelkich starań, by mąż nigdy nie złapał jej na gorącym uczynku. Podejrzenia i domysły wyprowadzały Belzonię z równowagi, dlatego tym bardziej starał się ją zdominować, zarówno siłą, jak i sposobem. Gdy jednak uwięził ją w szpitalu o jeden raz za duŜo, kupiła broń, którą od tamtej pory zawsze nosiła w torebce. Niewiele czasu upłynęło, gdy musiała jej uŚyć ...

W ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin Lara wielokrotnie zastanawiała się, czy ciotka w ogóle brała pod uwagę jakiegokolwiek konsekwencje, celując do swego męża. Z tego, jak się Śaliła na niesprawiedliwość oskarŜenia o zabójstwo Belzonię, moŜna było wywnioskować, Őe nie zdawała sobie sprawy z powagi sytuacji. Nie bardzo wiedziała, co ma z sobą zrobić, nie miała takŜe Őadnych

planów na przyszłość. Po prostu zapukała do drzwi siostrzenicy, zdając się na jej łaskę i niełaskę, po czym powędrowała na górę w poszarpanej balowej sukni, rozsiewając wokół złociste cekiny. Zrzuciła

sukienkę niczym wąs, który pozbywa się niepotrzebnej skóry, padła na łóżko w pokoju gościnnym i spokojnie sobie zasnęła.

Wciąż tam była ...

Lara zupełnie nie wiedziała, jak pomóc ciotce.

Miała przecucie, że tylko cud może ją ocalić zarówno od więzienia, jak i od szponów rodziny Belzonich. Teraz tak i od dociekliwego Adama Benedicta ...

ROZDZIAŁ TRZECI

Adam był przekonany, że Lara Kincaid próbuje wyciągnąć od niego jakieś informacje i wskazówki.

Nie wierzył, by mogła to uczynić za pomocą swych parapsychologicznych zdolności, i właśnie dlatego zgodziła się na przesłuchanie. Podczas rozmowy starała się osiągnąć jakieś korzyści dla siebie, czy raczej dla ciotki.

Buszując po bazach danych, dowiedział się, że Kim Belzoni dzwoniła do siostrzenicy z telefonu domowego tuż po tym, jak Ernesto został zastrzelony. Odkrył także, że zapłaciła w hipermarkecie kartą kredytową za farbę do włosów i przecenione ubrania, zamierzała się więc ukrywać. Ciekaw był, czy Lara faktycznie nie wiedziała, dokąd ciotka się udała, czy też kłamała mu w żywe oczy. Wsłuchiwał się w odgłosy domu, bo wcale nie było wykluczone, że Kim Belzoni właśnie tu się ukryła, dobiegało go jednak tylko tykanie starego zegara i ciche trzeszczenie drewnianej konstrukcji budynku.

Choć miło mu było w towarzystwie pięknej, intrygującej kobiety, źle się czuł, nachodząc ją w jej domu. Faktycznie złamał prawo, przekraczając próg mimo jej sprzeciwu. Nie odjechał stąd jeszcze tylko dlatego, że Lara nie wezwała policji. Musiał jednak istnieć poważny powód, dla którego nie skorzystała z interwencji mundurowych służb, i najpewniej wiązał się on z Kim Belzoni.

Poza tym, ku swemu zaskoczeniu, chciał się upewnić, że Lara jest bezpieczna, spodziewał się bowiem, iż w ślad za nim przybędą tu żołnierze nowoorleańskiej mafii. Ponieważ nie miał już więcej

ślubowych pytań dotyczących sprawy, by przeciągnąć rozmowę, przeniósł ją na bardziej prywatny grunt.

- _ Naprawdę udaje się pani utrzymać z tego sklepiku?

- _ Oprócz sprzedaży materiałów, wzorów i własnych wyrobów, prowadzę też kursy, dzięki czemu wychodzę na swoje.

- _ Mieszka pani zbyt daleko od miasteczka, żeby mieć tu duży ruch.

- _ Dla prawdziwych hobbystów to sąden problem. - Uśmiechnęła się, a jej oczy zalśniły. _
Otrzymuję

też honoraria, bo w specjalistycznych publikacjach wykorzystywane są moje projekty. Szczególnym powodzeniem cieszy się wzór, który nazwałam "Niebo na ziemi".

- _ No proszę, a ja myślałem, że na zapleczu handluje pani podejrzanymi eliksirami, tak jak pani babcia.

- Niestety, ostatnio nie ma dużego popytu na eliksiry. Może obecnie ludzie nie są tak desperowani?

- Albo na rynku jest zbyt wielu szarlatanów, którzy za duże pieniądze oferują absurdalne produkty, rzekomo gwarantujące rozwiązanie wszelkich problemów.

- Uważa pan, że eliksiry to szarlataneria i naciąganie naiwnych ludzi?

- Aleś skąd. Sam wiele razy obserwowałem ich działanie. Od niepamiętnych czasów znachorzy leczyli

nawet śmiertelnie chorych, uzdrawiacze sprawiali, że kalecy ludzie odzyskiwali sprawność, a sprzedawcy cudownych olejków zaklinali się, że ich produkty likwidują zgagę, niszczą kamienie w nerkach, a nawet leczą nowotwory. A tak naprawdę mamy tu do czynienia z efektem placebo, czyli psychoterapią. Ludzie spożywają farmakologicznie obojętne środki, jednak święcie wierzą w ich

zbawczą moc, dzięki czemu organizm podejmuje skuteczną walkę z dolegliwościami czy nawet poważnymi chorobami. Ludzki umysł potrafi dokonywać cudów, potrzebuje tylko odpowiedniego bodźca.

- Innymi słowy, tak naprawdę wszystko zależy od nas.

- A nie jest tak?

- Alternatywna medycyna zdobywa coraz więcej zwolenników wśród niekwestionowanych autorytetów oficjalnej nauki i traktowana jest jako uzupełnienie konwencjonalnych metod leczenia.

Niech pan pamięta, że przemysłowa farmakologia, w dużej mierze po prostu zastępuje naturalne składniki syntetykami, wywodzi się z ziołarstwa, które rozwijało się wiele tysięcy lat. A jeśli chodzi o placebo ... Co w tym złego, skoro w efekcie chory dochodzi do zdrowia?

_ Tak, oczywiście. Jednak są ludzie, którzy śerują na cudzym nieszczęściu. Za ogromne sumy sprzedają ciężko chorym jakieś specyfiki, które z medycznego punktu widzenia nie mają prawa zadziałać. Jeśli powstanie efekt placebo, to świetnie, lecz naciągacz nie ma na to żadnego wpływu i tak naprawdę mamy do czynienia z ohydny oszustwem.

_ Mówi pan o szarlatanach i zwykłych na-

ciągaczach. A przecież prawdziwi ziołarze naprawdę znają się na swoim fachu i potrafią leczyć. Wie pan, jak w zamierzchłych czasach powstało ziołarstwo? Z obserwacji zwierząt. Kiedy coś im dolega, instynktownie wyszukują te rośliny, które mogą pomóc. Zresztą my też mamy ten instynkt. Dlaczego nagle zjadamy mnóstwo cytryny? Bo z jakichś względów nasz organizm potrzebuje zwiększonej dawki witaminy C. Lub nabieramy apetytu na pomidory? Bo brak nam potasu. To oczywiście najprostsze przykłady. Rzecz jasna ziołarze nic nie wiedzieli o witaminach czy mikroelementach, natomiast przez tysiąclecia, z pokolenia na pokolenie gromadzili doświadczenia.

- Na przykład takie, żeby zbierać zioła pod czas pełni, tuż przed świtem, na brzegu lasu? - zadrwił. -

Toś to prawdziwe gusła.

- Podczas pełni, bo jest jasno. Przed świtem, bo wtedy osiada rosa, co jest oświeczeniem dla roślin. A na brzegu lasu, bo krzewinki najlepiej tam rosną.

- Aha ... Skoro jednak pani posiadała tę wiedzę, dlaczego nie wykorzystuje jej pani do celów zarobkowych?

- Po prostu wybrałam inny sposób na życie.

Zabrzmiało to trochę górnolotnie, ale każdy powinien iść za swoim powołaniem ... choćby były nim wzorzyste kapy, narzuty i kołdry.

Uśmiechnął się, zaraz jednak spoważniał.

- A tak z ciekawości, co jest w tych eliksirach?

- Różne zioła, a także oko jaszczurki, sok

z ślimaka, grudki cmentarnej ziemi zbieranej o północy podczas jesiennego przesilenia, sproszkowany ząb trzonowy nieboszczyka - powiedziała z kamienną miną, niby mimochodem zerkając na filiżankę Adama.

- Bardzo zabawne - mruknął, choć zarazem dokładnie przyjrzał się kawie.

- No i co pan tam zobaczył?

- Hm ... kawa jak kawa - stwierdził niepewnie, patrząc jej w oczy.

- Jak widzę, ma pan problem. Był pan cały czas przy mnie, kiedy szykowałam kawę, nie mogłam więc niczego dosypać. Mogłam to jednak zrobić wcześniej do pustej filiżanki, bo dzięki telepatycznym zdolnościom spodziewałam się pana wizyty. Problem w tym, że w te moje zdolności pan nie wierzy. Czy jednak na pewno, skoro boi się pan wypić następny łyk?

Natychmiast to uczynił.

— Kawa jest świetna, nie ma w niej śladu oka jaszczurki ani zęba nieboszczyka. - Uśmiechnął się

lekko. - Ale tak bez śmiechu, z czego składają się te eliksiry?

- To zaleŜy.

- Od czego?

- Od tego, czemu mają słuŝyć. Na zgagę, kamienie w nerkach czy moŜe na nieodwzajemnioną miłość

...

- Nieodwzajemnioną miłość.

- Czemu tak to pana interesuje? CzyŜby chciał pan zostać najbardziej rozchwytywanym męŜczyzną w Nowym Orleanie?

Początkowo chodziło mu o to, by się dowiedzieć, czym napoiła go przed laty Esther Goodman, ale nagle przestało go to obchodzić.

- Mówiąc szczerze, chciałbym, ŝeby pewna wyjątkowa kobieta tak bardzo oszalała na moim punkcie, by wielbiła ślady moich stóp i nie rozstawała się ze mną ani na moment.

- Jest pan pewien? Zna pan to powiedzenie ... UwaŜaj, czego sobie ŝyczysz, bo moŜesz to dostać. - -

Jednak w tym wypadku ryzyko jest minimalne, jak sędzę.

Zadumała się na chwilę.

- Efekt w duŜym stopniu zaleŜeć będzie od tego, na ile powaŜne są pańskie intencje.

- Chce pani przez to powiedzieć, ŝe to ja mam w tej kwestii najwięcej do powiedzenia?

- RóŜnie z tym bywa. Często dodaje się czekoladę, która podobno zwiększa poŜądanie. To dlatego jest tak popularnym prezentem na Walentynki.

- Nie wydaje mi się, ŝeby klienci pani babci tłoczyli się tu po bombonierki.

- Podobne działanie mają oliwki, mówi się nawet, ŝe zwiększają płodność u męŜczyzn, tak samo awokado i banany. Choć wydaje mi się, ŝe w przypadku bananów bardziej chodzi o wygląd niŜ skład

chemiczny.

- NiewaŜne, w tej dziedzinie nie mam akurat problemów.

- Tak czy inaczej, róŜne rośliny w róŜny sposób oddziałują na nasz organizm. Dawniej przypisywano

to magii, jednak nauka odczarowała te kwestie. Na przykład wyciąg z palmy sabalowej, stanowiący główny składnik leków przeciwko przerostowi prostaty, w osiemnastym i dziewiętnastym wieku był odpowiednikiem viagry. Dla mężczyzn, którzy mieli kłopoty z potencją z powodu prosta ...

- Może jednak darujemy sobie tę część wykładu i skupimy na nieszczęśliwej miłości?

- Skoro pan nalega ... Na przykład od stuleci znane są wabiące właściwości tak zwanego korzenia fiołkowego, czyli kłącza jednego z gatunków irysa. Nawet obecnie używa się go w mieszankach zapachowych, zwłaszcza w potpourri przeznaczonych do szuflad z damską bielizną.

Wiele kobiet nie zdaje sobie nawet sprawy, że ich pachnące majteczki stanowią nie lada magnes na mężczyzn.

- Intrygujące, ale ciągle nie o to mi chodzi.

- W takim razie pozostaje panu do dyspozycji jedynie saszetka albo napar. Do saszetki potrzebuje pan płatków róży i kwiatów jaśminu. Aha, zapomniałabym o liściach lulka czarnego. Niestety, musi je pan zebrać osobiście tuż po wschodzie słońca, w dodatku nago, stojąc na jednej nodze.

- Tym razem już pani przesadziła z żartami.

- Przykro mi, ale mówię najzupełniej poważnie. Z pewnością, jak zazwyczaj z magią bywa, ma to jakieś racjonalne wytłumaczenie, nie jest mi jednak znane.

-

- I co dalej? Po tym, jak złapałem zapalenie płuc, uganiając się za czarnym lulkiem nago po rosie? Mam jej to wrzucić do szuflady z bielizną?

- Nie, zmieszać razem z liśćmi paczuli i korą cynamonu, włożyć trzy łyżki mieszanki do lnianego woreczka i nosić na szyi na rzemyku.

- Nie wątpię, że jak zobaczy mnie z czymś takim, nie oprze się mojemu urokowi. Nawet nie chcę myśleć, jak coś takiego może pachnieć.

- _ Jeśli będzie pan tak do wszystkiego podchodził, nic nie zadziała.

- _ Dobrze, zapomnijmy o saszetce. Czy słusznie się spodziewam, że napar smakuje jak olej rycynowy,

więc musiałbym wlać go wybrance siłą do gardła?

- Wręcz przeciwnie, ma delikatny smak mięty i lukrecji z lekką domieszką imbiru. Jeśli nie uda się panu namówić jej do wypicia czegoś takiego, musi pan porzucić wszelką nadzieję.

- Gdybym potrafił nakłonić kobietę do wypicia afrodyzjaku, oznaczałoby to, że w ogóle go nie potrzebuję - zauważył przytomnie. - Byłby to widomy znak, że potrafię ją skłonić do wszystkiego, więc po co mi te magiczne sztuczki?

- Pewnie tak... No cóż, pańska strategia nie działa.

- Jaka strategia? Zdobycia kobiety, o której marzę od dawna?

- Nie, strategia mająca uspić moją czujność. Próbuje mnie pan zagadać, że bym przestała się kontrolować i powiedziała, gdzie jest ciocia Kim.

Owszem, chciał odwrócić jej uwagę i zdobyć zaufanie, by wysupłać ze słów Lary jakieś informacje, lecz zarazem pragnął poznać ją bliżej. Co gorsza, jej głos wpływał na niego kojąco, wprowadzał w swoisty trans.

- Nie docenia pani siebie.

- Wręcz przeciwnie. Czy może mi pan wreszcie powiedzieć, dlaczego tak bardzo chce pan ją odnaleźć?

- Bo zostałem o to poproszony, a z reguły staram się dotrzymywać słowa.

- I zamierza pan się wywiązać z obietnicy, bez względu na to, czy moja ciotka jest winna, czy też nie? A tak niezależnie od tego, jakie kierowały nią pobudki, jeśli oczywiście zrobiła to, o co ją się podejrzewa.

- _ To nie ja stanowią prawo. Robię, co w mojej mocy, by się do niego stosować, a od czasu do czasu pomagam tym, którzy je egzekwują.

- A co, jeśli odnalezienie ciotki sprowadzi na nią zagrożenie?
 - Zapewniam panią, że pod policyjną ochroną będzie najbezpieczniejsza.
 - Może ta świadomość uciszy pańskie sumienie, ale na pewno nie moje. Zresztą moja ciotka żyje z głową w chmurach, nie radzi sobie z rzeczywistością, różne rzeczy przydarzają jej się mimowolnie.
 - Naprawdę? Z kupnem broni i zastrzeleniem człowieka jakoś sobie poradziła.
 - Jeśli to prawda, to musiała tak zrobić, inaczej sama by zginęła.
 - Dlaczego, zamiast sama wymierzać tak zwaną sprawiedliwość, nie poprosiła o pomoc policji?
 - Myśli pan, że nie próbowała? - stwierdziła z wyrzutem.
- Wiedział, że policja często ignorowała pierwsze sygnały przemocy w rodzinie, dlatego nie ciągnął tematu.
- Gdyby faktycznie aż tak się bała Belzoniego, nie wracałaby do niego tyle razy.
 - Coś, kiedy mężczyzna wymachuje bronią i grozi kobiecie, że ją zabije, jeśli zdecyduje się odejść, trudno się dziwić, że jest mu posłuszna.
- Robiła wszystko, co mogła, starała się spełniać jego oczekiwania, ale żyła w ciągłym strachu. Aż wreszcie, jak się domyślałam, stanęła przed dylematem: zabić lub samej zginąć.
- Zawsze istnieje jakieś trzecie wyjście.
 - Czyżby?
 - Na przykład takie, jakie wybrała teraz. Uciekła, żyje w ukryciu, ale żyje.
 - Tylko jak długo można tak żyć?
 - Też prawda - mruknął. - Jej szczęście, że ma panią po swojej stronie.
 - Dzięki za komplement - stwierdziła chłodno, nie patrząc na niego.

Nie był w stanie odwrócić od niej wzroku.

Siedział jak zaczarowany i choć powinien się spieszyć dla dobra swej misji, nie pragnął niczego więcej, jak zostać tu i poznać ją najlepiej, jak tylko to możliwe. Zaniepokoiło go to, przecież zawsze zadanie było dla niego najważniejsze. Zapominał o wszystkim, co nie było związane z celem, i jak czołg parł do przodu. Niektórzy przezywali go z tego powodu cyborgiem, ale tak naprawdę podziwiali

jego determinację i zdolność koncentracji. Tymczasem ta kobieta bez trudu zdołała kompletnie go rozkojarzyć. Nie wiedział, jak tego dokonała, ale postanowił zrobić wszystko, by zdemaskować jej sztuczki.

W tym momencie nad ich głowami rozległo się głucho uderzenie. Adam najpierw odruchowo zerknął w górę, po czym pytająco spojrział na Larę.

- To pewnie wiewiórka biega po dachu- zasugerowała, rumieniąc się lekko.

- Nocą?

- Zdarzały się takie przypadki. A może wiatr obłamał spróchniały konar dębu?

Było to tak niewiarygodne, że postanowił nie naciskać. Gdyby niesłusznie ją oskarżył o kłamstwo, z pewnością kazałaby mu natychmiast wyjść, a na to nie był jeszcze gotowy. Pociągnął długi łyk kawy, zastanawiając się, jak wybrnąć z tej skomplikowanej sytuacji.

Wiedział, że Lara Kincaid nie zamierza mu nic powiedzieć. Nie mógł jej zmusić do współpracy, nie miał tego czasu, by zabiegać o jej zaufanie. Oczywiście mógł przeszukać dom, ale robiąc to bez nakazu, drastycznie złamałby prawo, a gdyby niczego nie znalazł, sytuacja stałaby się po prostu fatalna. Byłoby dużo lepiej, gdyby oddelegował do tej sprawy Roana, jednak teraz nie mógł się już wycofać, bo tym samym przyznałby się do porażki. Musiał więc kontynuować tę zabawę w kotka i myszkę, licząc, że jednak coś wyjdzie na jaw. Tylko kto tu jest myszką, a kto kotem?

- Poznała pani Sonę mojego brata? - rzucił z desperacją, byle tylko podtrzymać rozmowę. - Janna zajmuje się projektowaniem wzorów tkanin, więc macie z sobą wiele wspólnego.

- Była tu kilka razy z córką. Staram się zawsze mieć pełny wybór jej tkanin, szczególnie tych ręcznie

farbowanych.

- Ma ogromny talent, prawda?

- Tak, jest niesamowicie zdolna. Jak się czuje Lainey?

Skoro wiedziała o przeszczepie nerki jego bratanicy, znaczyło to, że była w dużej zażyłości z Janną.

- Dobrze. Aż trudno uwierzyć, że jeszcze niedawno była ciężko chora.

- Bardzo się cieszę.

- Lainey i Janna przeżyły prawdziwe piekło, więc najwyższa pora, by los się do nich uśmiechnął.

- To prawda. Niektórym tak właśnie się układa. Muszą wiele wycierpieć, by wreszcie zaświeciło im słońce.

- Clay postawił sobie za punkt honoru, że nie dopuści, by cokolwiek im się jeszcze stało. To jego życiowa misja.

- Jest jak rycerz na białym koniu, przynajmniej w oczach Janny - powiedziała ciepło. - Ale to

cecha dziedziczna. Wiele słyszałam o wyczynach Benedictów.

- Zapewne wszystkie opowieści były mocno przesadzone.

- Jednak z tych, jak pan twierdzi, przesadzonych opowieści wynika, że Benedictowie obdarzeni są bujnym temperamentem, mają hopla na punkcie swojego pojętego honoru, ale do kryształowych charakterów raczej nie należą.

Zaiste, prawdziwy temat rzeka. "Swoicie pojęty honor" Benedictów zarazem był ich błogosławieństwem, jak i przekleństwem, popychał bowiem do czynów wzniosłych, lecz także szalonych,

a nieraz i okrutnych. Motorem ich niepojętych wyczynów bywała miłość, ale i nienawiść, obrona pokrzywdzonych, ale i zemsta. Nigdy jednak chciwość czy zawiść.

- To skomplikowana sprawa ... - Adam przerwał, gdy z góry dobiegł odgłos wody spływającej rurami

kanalizacyjnymi.

Lara wstała i położyła mu dłoń na ramieniu. - Proszę zaczekać.

Jej delikatny dotyk sprawił, że przeszył go dreszcz. Było to o tyle zaskakujące, że choć był już z wieloma kobietami, Sadna do tej pory nie zdołała wprowadzić go w taki stan za ledwie musnięciem ręki.

- Hm ... zaczekać?

- Jak rozumiem, jeśli doprowadzi pan poszukiwaną osobę, otrzymuje pan wynagrodzenie od nowo orleańskiej policji ...

- Owszem, jako konsultant. I nie za doprowadzenie osób, lecz za współpracę przy kolejnych śledztwach. Pomyliła mnie pani z łowcą głów, którym nie jestem.

- Nawet o tym nie pomyślałam - sprostowała szybko.

- Cieszę się, że wyjaśniliśmy to sobie.

- Nie mam pojęcia, jakiej wysokości honorarium dostaje pan za każde zlecenie. Moja ciotka nie jest specjalnie majętna, ale ...

- Proszę natychmiast przestać!

- Ale naprawdę, proszę się nie krępować, jestem pewna, że mogę panu zaoferować ...

Chwyił ją za nadgarstek, i to był błąd. Wszelki fizyczny kontakt z tą kobietą był dla niego zbyt niebezpieczny. Mimo to nie poddał się całkiem niesłusbowym emocjom, a jego głos zabrzmiał gniewnie:

- Naprawdę pani sądzi, że można mnie przekupić?

Fatalnie to rozegrała. Jak mogła tak bardzo się pomylić? Zaraz jednak wpadła na inny pomysł.

- Powiedzmy, że to taka próba.

- Próba czego?

- Charakteru. Chciałam się przekonać, czy jest pan uosobieniem czarnej legendy Złych Benedictów z

T urn-Cou pe, czy też rycerzem na białym koniu,.

- Uznała więc pani, że albo ze mnie przekupny drań, albo jestem gotów sprzeniewierzyć się swojemu zadaniu i przybyć na pomoc pani ciotce, wiedziony szlachetnym instynktem, jak to zwykli czynić owi bajkowi rycerze?

- To drugie. - Uśmiechnęła się nerwowo. - Właśnie na to liczę.

- A jeśli się nie zgodzę?

- Jeszcze nie wiem, co zrobię.

Powiedziała to tak cicho, że ledwie usłyszał.

- Przykro mi, ale nie mam podzielnej lojalności - stwierdził ostro. - Przechodząc na stronę pani ciotki,

wcale nie stałbym się rycerzem na białym koniu, tylko zdrajcą. - Odsunął się, opuszczając rękę.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Zrozumiała swój błąd. Najpierw zaczęła od ordynarnej próby przekupstwa, potem zagrała na uczuciach wyższych, ale wypadło to źle. Naturalnie nie poddawała się, nie zamierzała wydać ciotki na pastwę wymiaru sprawiedliwości stanu Luizjana. Rodzinna lojalność nie była zerwana wyłącznie dla klanu Benedictów.

- A więc ... Uniósł wyczekująco brwi. - Kto jest na górze? Czy może mam zgadywać?

Mogła albo zwlekać, ile się da, licząc na jakiś cud, albo od razu wyznać prawdę. Gdy rozważała ten dylemat, do kuchni weszła ciotka Kim. Zatrzymała się na moment, spojrzała na Larę i Adama, po czym podeszła do zlewozmywaka.

- Przepraszam, że przeszkadzam wam w słodkim tete-a-tete, ale obudził mnie zapach kawy, więc pomyślałam, że zejdę i napiję się.

Była ubrana w śnieżnobiały frotowy szlafrok, z którym doskonale kontrastował intensywnie rudy kolor włosów. Na jej ustach błądził lekko kpiący uśmiech, zupełnie nieadekwatny do sytuacji, w jakiej się znalazła.

- Ale proszę bardzo, wcale nam nie przeszkadzasz - stwierdziła z rezygnacją Lara. - Tak naprawdę

ten pan przyszedł do ciebie, a nie do mnie.

- _ Doprawdy? - Zmierzyła Adama wzrokiem. - Cóż ... - Jej niebiesko-fioletowe oczy i za barwione kolorowymi soczewkami, otworzyły się nieco szerzej. - Witam.

Lara uśmiechnęła się nieznacznie. Ciocia nie potrafiła się powstrzymać od flirtowania z każdym przystojnym mężczyzną, tak jak nie umiała się powstrzymać od oddychania. Zmysłowa intonacja, pełna obietnic mowa ciała, nie były przemyślaną grą, wyrażały bowiem jej osobowość. Nic zresztą w

tym dziwnego, skoro od tak wielu lat była całkowicie uzależniona od mężczyzn niczym narkoman od kokainy.

- A więc to pani jest Kim Belzoni? - spytał Adam.

- Powinam była dokonać prezentacji, przepraszam. Ciociu, poznaj pana Adama Benedicta, z tutejszych Benedictów. Mieszka w Nowym Orleanie, a przyjechał na prośbę tamtejszej policji. Panie Benedict, to jest moja ciotka, Kim Belzoni. - Lara wyjęła z kredensu filiżankę, zerkając jednocześnie na Adama, by ocenić jego reakcję, jednak jego twarz była nieprzenikniona.

- Czemu zawdzięczam ten zaszczyt? – Kim usiadła przy stole, obserwując gościa z niekłamanym zainteresowaniem.

Dziwne, pomyślał Adam. Powinna wyglądać na spłoszoną i udręczoną, a oto prezentowała się wprost

znakomicie, była spokojna i odprężona. Jakby przyjechała tu na wczasy, a nie uciekała przed policją po dokonaniu morderstwa.

- Śmierci pani męża - odpowiedział prosto z mostu.

- Ach - mruknęła z wyraźnym rozczarowaniem, rzucając jednocześnie pełne wyrzutu spojrzenie swej siostrzenicy.

- Mylisz się, jeśli sądzisz, że to ja go tu sprowadziłam. Jak już wspomniałam, zjawił się w moim domu

na prośbę policji z Nowego Orleanu.

- Nie wygląda na policjanta. - Kim sięgnęła po filiŹankę.
 - Lecz i tak cię znalazł. Jeśli zrobił to tak szybko, nie jesteś tu bezpieczna.
 - A jest takie miejsce na ziemi? - Wzruszyła ramionami.
 - Mogłaby pani pójść ze mną - podsunął Adam. - Znam kilka osób, które bardzo chciałyby z panią porozmawiać.
 - A co, jeśli nie podzielam ich pragnień?
 - Miałem na myśli osoby z policji. Przypuszczam jednak, Źe rodzina pani męŜa teŜ chciałyby się z panią spotkać.
- Kim zbladła, jej twarz nagle się postarzała.
- Wie pan, o czym tak naprawdę marzę? Źeby się znaleźć jak najdalej stąd. Muszę jeszcze tylko wymyślić i jak to zrobić.
 - Współpraca z policją byłaby dla pani najkorzystniejszym rozwiązaniem. Gwarantujemy pani ochronę, a poza tym jeśli mówi pani prawdę o tym co zaszło ...
 - Jeśli mówię prawdę? - przerwała mu z naciskiem.
 - Wtedy nie ma się pani czego obawiać.
 - Tak pan sądzi? Na jakim świecie pan Źyje? Rodzina Belzonich robi wszystko, Źeby mnie skazano. Mają pieniądze, znajomości i układy, przekupionych polityków sędziów szychy z policji ... Gdzie tu miejsce na prawdę i sprawiedliwość?
- Niestety, taka była prawda. Przestępcze organizacje, choć nie były wszechwładne, posiadały jednak duŜe wpływy i potrafiły z nich korzystać, a Źona waŜnego mafioso choć nie brała udziału w tajnych sprawach musiała niejedno widzieć i słyszeć. Lara była ciekawa jak Adam z tego wybrnie.
- Cóż lepsze chyba to niŜ śmierć, prawda?
 - Wie pan jak kończą więźniowie na których mafia wyda wyrok?
 - Tak wiem ... - mruknął niechętnie. Kim Belzoni miała rację, na pewno juŜ wydano na nią wyrok i

miała prawo się bać.

- Poza tym - Kim uśmiechnęła się uroczo - więzienne uniformy są wyjątkowo niegustowne. Ten okropny pomarańczowy kolor. .. Z pewnością nie ma tam ani dobrych fryzjerów, ani manikiurzystek czy kosmetyczek. W Rio natomiast docenia się kobiety w pewnym wieku.

- Oczywiście pod warunkiem, że uda się pani dostać do Rio.

- Zawsze może mnie pan przecie tam zabrać. - Przechyliła kokieteryjnie głowę.

No tak pomyślała Lara, cała Kim. Z niepokojem czekała na reakcję Adama.

- Obawiam się, że to niemożliwe.

- Jest pan bardzo stanowczy. Ciekawe czemu. - Zmrużyła lekko oczy wpatrując się w niego badawczo.

- Ach, rozumiem. Jest pan już kimś zainteresowany. Fascynujące.

- Czyby równie odziedziczyła pani dar jasnowidzenia?

- Od czasu do czasu się przydaje, choć nie zawsze działa, jak powinien.

- W takim razie proponuję, żeby pani z niego skorzystała i podjęła jakąś decyzję.

- Jak może pan być tak nieczuły? Nie był pan nigdy w niebezpieczeństwie? Nie miał pan żadnych kłopotów?

- Kłopoty, owszem, miewałem, ale nigdy nie były związane z morderstwem.

- To nie było żadne morderstwo. Choć przyznaję, że powinnam była się pozbyć Ernesta wieki temu.

Lara odchrząknęła i posłała ciotce ostrzegawcze spojrzenie.

- Tak tak, to bardzo nierozsądne z mojej strony, ale co mam mówić, skoro taka jest prawda? To był człowiek, którego nie tylko ja chciałam zabić. Mnóstwo ludzi uczyniłoby to z rozkoszą.

- Dlaczego więc nie zaczekałaś, aż ktoś inny to zrobi? - ze złością rzuciła Lara.

- Chcieć a móc to dwie całkiem różne rzeczy. Jak wielu innych, przez długi czas tylko chciałam, aż wreszcie okazało się, że mogę.

- Teraz to i tak bez znaczenia - stwierdził Adam. - Moja propozycja jest następująca ...

- A jednak ma pan dla mnie propozycję. - Kim uśmiechnęła się czarująco. - Proszę mówić, zamieniam

się w słuch.

Odetchnął głęboko, aby nie dać się ponieść irytacji. Nie uszło to uwagi Lary.

- Proszę się ubrać i pojechać ze mną do Nowego Orleanu. Jack Whitaker z tamtejszej policji prowadzi

pani sprawę, może wspólnie coś wymyślicie.

- A jeśli odmówię? Zawiezie mnie pan wbrew mojej woli? Nawet jeśli będę krzyczeć i kopać?

- To nie należy do mnie. - Adam sięgnął po telefon komórkowy. - Zadzwoń do Jacka. Może uda mu

się załatwić, żeby miejscowa policja zajęła się panią do czasu, aż zjawi się ktoś z Nowego Orleanu.

- Nie, proszę chwilę poczekać. - Położyła mu dłoń na ramieniu. - Muszę chwilę pomyśleć. To wszystko

dzieje się tak szybko, że mam mętlik w głowie.

- Proszę bardzo, tylko radzę się pospieszyć.

- Jak to? - Spoglądała to na siostrzenicę, to na Adama.

- Mafia też ma komputery i potrafi zdobyć potrzebne dane, ma także odpowiednio wyszkolonych ludzi - wyjaśniła Lara.

- Rozumiem. Skoro pan znalazł mnie tak szybko, oni też mogą to zrobić.

- Właśnie.

- I tylko patrzeć, jak tu się zjawia ... O Boże! - Ukryła twarz w dłoniach.

- Nie załamuj się - powiedziała ciepło Lara. - Jeszcze ich tu nie ma.

- Przepraszam cię, kochanie. - Podniosła na nią oczy pełne łez. - Nie chciałam sprowadzić na ciebie takich kłopotów.

- Wierzę ci, zresztą to nieważne. Musimy się skupić na tym, co powinniśmy zrobić.

- A tak przy okazji... kto jeszcze jest zamieszany w zabójstwo Belzoniego? - wtrącił się Adam. -

Policja podejrzewa, że był tam ktoś jeszcze, bo oba auta zarejestrowane na pani męża zostały w garażu.

- Co z tego wynika? - nie zrozumiała Lara.

- Nie mają pojęcia, jak się pani stamtąd wydostała, pani Belzoni.

- Kim, po prostu Kim. A cała ta moja ucieczka okazała się zaskakująco łatwa. Po prostu wyszłam z domu i szłam pieszo, póki nie zaczęły mnie boleć nogi. Wtedy z automatu zadzwoniłam po taksówkę.

- Taksówkę?!

- Taką niezrzeszoną. Znam pewną miłą taksówkarską, która nie należy do żadnej korporacji. Zawiozła mnie z Nowego Orleanu do Baton Rouge, gdzie zostawiła mnie w barze, który należy do mojego dobrego znajomego. To on załatwił mi samochód w wypożyczalni.

Lara nie mogła uwierzyć własnym uszom.

Skorzystanie z niezrzeszonej taksówki, której kierowca nie musi zgłaszać pasażerów do centrali, było

świetnym posunięciem. I z pewnością przemyślanym.

- A on zapłacił swoją kartą kredytową, żeby twoje nazwisko nie figurowało w spisie klientów - domyślił się Adam.

Skinęła w milczeniu głową.

- A więc nie miałaś współnika? żadnego nowego narzeczonego?

- żadnego pomocnika, jeśli to masz na myśli. Nawet jeśli ktoś jednak był w to zaangażowany, Kim nie zamierzała się do tego przyznawać. Lara zastanawiała się, czy ciotka stara się zataić udział tej osoby, czy też bez wiedzy jakiegoś przyjaciela, ale niejako z jego inspiracji, zdecydowała się na tak drastyczny "rozwód", by rozpocząć życie z nowym mężczyzną. Spodziewała się, że Adam będzie drażnił temat, ale skupił się na czymś innym.

- Nie zauważyłem nigdzie tego samochodu z wypożyczalni.

- No wiesz, a tak głupia nie jestem. Oczywiście ukryłam go.

- Bo wiedziałaś, że ktoś za tobą przyjedzie?

- Nie, bo nie chciałam, żeby klienci Lary się

czegoś domyślili. W tak niedużej społeczności informacje rozchodzą się lotem błyskawicy, a stąd jest

blisko do Nowego Orleanu.

- Gdzie go ukryłaś?

Kim zacisnęła usta, szczerzej otulając się szlafrokiem. Adam przeniósł wzrok na Larę.

- To było kiedyś duże gospodarstwo, jeszcze w latach pięćdziesiątych mieszkało tu wiele kur, krów i innych zwierząt. Na tyłach domu jest stara stodoła. Obrosły ją drzewa, ale na garaż się nadaje.

- To chyba dość oczywiste miejsce ... - mruknął z przekąsem.

- Tylko wtedy, gdy się wie o jego istnieniu.

- A co ze śladami opon?

- Przejechałam po nich kosiarką.

- Aha ... - Zamilkł zrezygnowany. Cóż, utknął w martwym punkcie. Powinien sprowadzić tu Jacka Whitakera, by formalnie aresztował Kim, jeśli jednak z wyroku mafii zostanie zamordowana w więzieniu ... Z drugiej jednak strony, nie dzwoniąc do Nowego Orleanu, sprzymierzał się z zabójczynią. A z trzeciej strony ... bardzo chciał pomóc Kim, bo Larze na tym zależało.

Lara zaś zastanawiała się gorączkowo, jak pogodzić wodę z ogniem, to znaczy umożliwić ciotce ucieczkę, nie narażając przy tym sumienia i honoru Adama.

Jednak to ciotka znalazła rozwiązanie. Najpierw uśmiechnęła się lekko, a potem utkwiała wzrok w siostrzenicy. Lara poczuła, że otrzymuje od Kim przekaz. Przymknęła oczy, skupiła się ...

Adam leżał w jej łóżku w sypialni na poddaszu i przypatrywał jej się z pełnym podziwu uśmiechem, ona zaś niespiesznie się rozbierała. Zsunęła z bioder dżinsy, pozwoliła im opaść swobodnie na podłogę, następnie zdjęła koszulkę. Już miała pozbyć się białych koronkowych majteczek, gdy nagle zmieniła zdanie. Rozpięła spinkę i rozplotła warkocz, przeczesując grube pasma palcami. Z podnie-

sioną głową zbliżyła się do ŁóŜka. Nawet przez moment nie przestawała patrzeć w te jego intensywnie

niebieskie oczy. Gdy znalazła się tuŜ przy nim, oplótl jej talię ramieniem i pociągnął ku sobie ...

- Nie! - zawołała, z trudem łapiąc oddech.

- Co się stało? - Adam spojrział na nią z niepokojem.

- Naprawdę, Laro, czy byłoby to aŜ tak wielkie poświęcenie? - z wyrzutem spytała ciotka. - T o wykluczone! - zbuntowała się. - Po pierwsze nie jest zainteresowany ...

- Naprawdę? Mam inne zdanie.

- Po drugie nie mogę. A nawet gdybym mogła i gdyby udało mi się go przekonać, potem bardzo by tego Őałował.

- A czy to by ci aŜ tak bardzo przeszkadzało? - Ciotka wyduła usta. - Ten jego Őal?

- Oczywiście, Őe tak.

- Niby dlaczego? Chyba Őe ci zaleŜy ...

- Czy ktoś mógłby mi wyjaŝnić, o co chodzi? - zirytował się Adam. - Zwłaszcza Őe sprawa dotyczy mnie, czy tak?

- Nie, nie dotyczy. - Ciotka Kim ledwie na niego zerknęła. - Przynajmniej na razie.

- Chwileczkę...

- Ani teraz, ani kiedykolwiek - stwierdziła stanowczo Lara. - To, czy mi zaleŜy, nie ma nic do rzeczy.

To po prostu wykluczone.

- Przepraszam, ale ... - Adam znów próbował się wtrącić.

- Zupełnie tego nie rozumiem. PrzecieŜ nie wymagam od ciebie, Őebyś się zadeklarowała na resztę Őycia. Byłaby to rozrywka jak kaŜda inna i nie udawaj, Őe aŜ tak strasznie nieprzyjemna, bo ci nie uwierzę.

- Przyjemna czy nie, nie o to chodzi. To po prostu niemoralne. Dla ciebie to nic wielkiego, ale dla mnie tak - zdenerwowała się Lara.

- Słuchajcie ... - Adam zmarszczył czoło, wpatrując się w zasłonięte tkaniną okno.

Ciotka westchnęła.

- Cóż, skoro tak się upieraszBóg jeden wie, że nie chciałabym cię zmuszać

- Cicho - rzucił ostro.

Gdy wreszcie zamilkły, usłyszały warkot silnika zatrzymującego się przed domem auta.

Lara zerwała się gwałtownie, a krzesło przewróciło się z hukiem. W przeciwieństwie do niej ciotka

Kim siedziała w bezruchu, ledwie oddychając. Adam podniósł się bezszelestnie.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Donośny dźwięk dzwonka rozniósł się echem po pogrążonym w ciszy domu. Lara starała się stłumić w sobie to, co i tak dobrze wiedziała. Nocny gość nie zjawił się tu w przyjaznych zamiarach.

Spojrzała z niepokojem na Adama i spytała szeptem:

- Jak myślisz, kto to?

- Spodziewasz się kogoś?

- Skądże ... Za późno, by był to jakiś klient, a nikogo nie zapraszałam.

- Nie ma co się łudzić, to najpewniej ludzie Belzonego.

- Tak po prostu zadzwonili do drzwi?

- Też tak zrobiłem.

- Ty chciałeś tylko informacji.

- Też mogą potrzebować tylko tego.

- Co mam zrobić?!

- Spokojnie otwórz drzwi, bo nabiorą podejrzeń, że coś jest nie tak. Powiedz im to, co mówiłaś mnie.

Ciotka kontaktowała się z tobą, wiesz o śmierci jej męża, ale nie masz pojęcia, gdzie może teraz być.

- A jeśli sami zechcą sprawdzić?

- Nie pozwól im - syknęła ciotka.

- Nie martw się - uspokoił ją Adam. - Będę tu za Larą.

Podniesiona na duchu tym zapewnieniem, poszła do holu, włączyła światło na ganku i wyjrzała przez okno.

Przed domem stał wysoki, chudy, lekko przygarbiony, o wąskiej twarzy i wyłupiastych oczach mężczyzna. Drugi opierał się plecami o ciemną limuzynę, zaparkowaną tuż za autem Adama.

Sylwetkę trzeciego ledwie było widać przez szybę od strony kierowcy.

Odetchnęła głęboko.

- Tak? - odezwała się, nie otwierając drzwi.

- Panna Kincaid?

W pozornie uprzejmym głosie pobrzmiwały groźne nuty.

- Tak, to ja.

- Wiem, że jest późno, ale musimy porozmawiać o pani krewnej, Sonie Ernesta Belzoni.

- Kim panowie są?

- Jesteśmy współnikami jej męża. Czy mogłaby mnie pani wpuścić? Obiecuję, że nie zajmę więcej niż

dziesięć minut.

Adam pokręcił przecząco głową.

- To chyba nie najlepszy pomysł. Jest bardzo późno, a nie sędzę, że bym mogła panom w jakikolwiek sposób pomóc.

- Czy widziała się pani ostatnio z panią Belzoni?

- Dzwoniła do mnie, wiem o śmierci jej męża. Nie powiedziała mi jednak, dokąd pojechała.

Spostrzegła, że mężczyzna, który stał do tej pory oparty o limuzynę, podszedł do samochodu Adama i otworzył drzwi od strony pasażera.

- Nie potrafi pani powiedzieć, gdzie moŜe teraz być? - spytał z niedowierzaniem.

- Niestety nie.

- Mam nadzieję, Ŝe jest pani ze mną szczera, panno Kincaid.

- Nie widzę powodu, Ŝeby miało być inaczej - odparła z lekką irytacją.

- Ja teŜ nie, ale gdyby jednak, byłoby to bardzo nierozsądne z pani strony.

Groźba była oczywista, choć, zwaŜywszy na okoliczności, wypowiedziana została w zaskakująco kulturalny sposób. śadnych przekleństw czy prób sforsowania drzwi, tylko ostrzeŜenie.

MęŜczyzna, który przeszukiwał auto Adama, krzyknął coś, machając dokumentami. Dwaj mafioso chwilę porozmawiali z sobą, po czym chudzielec znów wrócił na werandę.

- Proszę pani! - zawołał.

- Tak...

- Auto na podjeździe naleŜy do Adama Benedicta z Nowego Orleanu. Ma pani gościa?

- T o chyba nie pańska sprawa.

- A jednak. Jest tu słuŜbowo czy prywatnie?

- Oczywiście prywatnie.

- Od dawna go pani zna?

- Od jakiegoś czasu. MoŜe pan nie wie, ale pochodzi z tych okolic. Jego kuzyn jest szeryfem Tunica Parish.

- Chcę porozmawiać z Benedictem - zaŜądał.

- Zna go pan?

Zerknęła na Adama, który gestem wskazał, Ŝe nie chce tej rozmowy.

- Tylko ze słyszenia. Proszę mu powiedzieć, Ŝeby się pokazał. - Z jego tonu wynikało, Ŝe czas uprzejmej rozmowy się kończy.

Adam zbliŜył się cicho do drzwi i otworzył je z impetem. MęŜczyzna na werandzie najwyraźniej się

tego nie spodziewał, bo podskoczył jak oparzony.

- A więc to ty, Benedict!

- Demarius. Powinienem być się domyślić.

- Poznajesz mnie? Jestem zaszczycony. Słyszałem, że rzadko wychylasz nosa z miasta, więc jakim cudem dotarłeś aż tutaj?

- Pani Kincaid już wyjaśniła powód mojej wizyty. Jeśli masz coś jeszcze do powiedzenia, to się pośpiesz, bo mam lepsze rzeczy do roboty niż tkwić tu z tobą na progu.

Mówiąc to, objął Larę w tali i przyciągnął do siebie. Miała nadzieję, że nie poczuł, jak zdrętwiała.

- Tylko pozazdrościć - stwierdził gangster, nie odrywając spojrzenia od tego, co kryła koszulka Lary.

- Na twoim miejscu też bym nie miał ochoty z nikim gadać. Ale coś mi się zdaje, że to nie jest jedyny powód twoich odwiedzin.

- Czyżby?

- Mieliliśmy sygnały, że Kim Belzoni pojechała właśnie w tym kierunku.

- Chyba z kiepsko poinformowanego źródła.

- Wręcz przeciwnie. Od barmana w Baton Rouge. Był nam winien przysługę, sam wiesz, jak to jest.

- Skoro tak, to będziemy jej wyglądać.

- Dzięki, ale to za mało. Podejrzewam, że jesteś tu z jej powodu, więc proponuję układ. Przekaż nam panią Belzoni, a my damy ci spokój. Możesz sobie jechać, możesz zostać, twoja sprawa.

- To bardzo szlachetne z waszej strony - zadrwił.

- Prawda? Możesz nawet zatrzymać tę ślicznotkę, nic nam po niej.

Lara aż poczerwieniała ze złości.

- Nikt przy zdrowych zmysłach nie powierzyłby wam nawet psa, nie mówiąc już o człowieku! - wypaliła z furją. - Nawet gdyby moja ciotka tu była, nie oddałabym jej wam.

- To bardzo ładnie z pani strony. - Demarius uśmiechnął się kpiąco. - Tylko że taka postawa może

ściągnąć na panią nieszczęście.

- A to z jakiego powodu?

- Cóż, jest sprzeczna z instynktem samozachowawczym. Trzeba dokonać wyboru. Może pani trzymać z ciotką albo spędzić miło czas z ukochanym. Benedict może stanąć między nami a kobietą, której szukamy. Może też równie dobrze wycofać się i pozwolić nam wziąć to, po co przyjechaliśmy. Jedna

decyzja może was kosztować zdrowie lub życie, druga zapewni wam bezpieczeństwo. To po prostu kwestia wyboru.

- To niedorzeczne!

- A mnie się zdawało, że to całkiem rozsądna oferta. Zwłaszcza gdybyśmy pozbyli się was trojga, oszczędzilibyśmy sobie wiele zachodu.

- A może ściągnęlibyście na siebie jeszcze więcej kłopotów? - zasugerował Adam.

- Oczywiście, zawsze istnieje takie zagrożenie. Ale czasem trzeba posłuchać intuicji.

- A jeśli moja intuicja mówi, że powinienem ci rozkwasić gębę?

- Adam - zmytygowała go Lara, gładząc po ramieniu.

Aura, jaką emanował mafioso, świadczyła dobitnie, że kochał władzę, szczególnie taką, która bierze się z zastraszenia innych ludzi. Czerpał z tego perwersyjną radość, natomiast fizyczne okrucieństwo traktował w chłodny sposób, jako środek prowadzący do celu.

- Mówiłam już panu, że mojej ciotki tu nie ma - przypomniała cierpliwie.

- Kochanie, mam wrażenie, że próbuje mnie pani spławić, ale jestem na to odporny. Skoro jednak twierdzi pani, że jej tu nie ma, zamiast niej mogę wziąć Benedicta. Może uda mi się go namówić, żeby

ją dla nas odnalazł.

- Powinien pan jego zapytać o zdanie. Zerknęła na Adama, który zacisnął szczęki.

- Nie widzę takiej potrzeby. To pani zdecyduje o moich następnych ruchach. - Uniósł mankiet koszuli

i spojrzął na zegarek. - Ma pani pół godziny na podjęcie decyzji.

- Pół godziny?!

Uśmiechnął się cierpko i zawrócił do samochodu. - Powinna się pani cieszyć - rzucił przez ramię. - Gdybym nie był w tak doskonałym nastroju, dostałaby pani dziesięć minut.

Lara zamknęła i zaryglowała drzwi. Chciała odsunąć się wreszcie od Adama, ale ten nie zwolnił uścisku, wpatrzony gdzieś przed siebie. - Czy mógłbyś mnie puścić?

- Przepraszam - mruknął, uwalniając ją z objęć.

- I co teraz zrobimy?

- My? A od kiedy to mnie dotyczy? O ile dobrze słyszałem, decyzja naleŜy do ciebie.

- To przecieŜ taka taktyka. Demarius woli uniknąć przemocy, bardziej go bawią psychologiczne gry.

UwaŜa siebie za mistrza w tej dziedzinie, choć to gruba przesada. Teraz liczy na to, Őe przewaŜy mój

strach czy egoizm, i albo wydam mu ciotkę, albo zdradzę, gdzie się ukrywa. Uznał, Őe jestem słabszym ogniwem, dlatego postawił na mnie. Ciebie próbuje wyeliminować z gry, bo moŜesz sprawić więcej kłopotów. Masz być tylko pionkiem.

Spojrzał na nią uwaŜnie.

- Propozycja Demariususa, jak na mafijne obyczaje, jest nadzwyczaj umiarkowana. Mogli wpaść tu bez ostrzeŜenia, porwać Kim, a nas zabić, by pozbyć się Őwiadków.

- Wiem... - Pobladła. - Demarius popełnił błąd, licząc na swój psychologiczny geniusz. Gra nadal się toczy, a my zyskaliŐmy na czasie. Nie przewidział, Őe w Őadnym wypadku nie zostawię Kim w potrzebie.

- Nie kusi cię, Őeby się mnie pozbyć?

- A to juŜ zupełnie inna historia.

- Zgadza się. - Uśmiechnął się lekko. - Z pewnością zastanawiasz się jednak, czy oddam im twoją ciotkę, Őeby ratować własną skórę.

- A oddałbyś? - Pomyślała, ilu znanych jej mężczyźn byłoby zdolnych do narażenia własnego życia dla obcej osoby.

- A jak sądzisz? - W jego głosie zabrzmiała kpina, jakby chciał dać Larze do zrozumienia, że nie powinna w niego wątpić.

- Wierzę, że nie. Tkwiemy w tym bagnie po uszy we troje, wliczając w to ciocię.

- Skąd ta wiara?

- Po prostu taki masz charakter. Nie narażasz ludzi na niebezpieczeństwo, wręcz przeciwnie, gdy tylko

to możliwe, ratujesz ich z opresji.

- Nic osobistego, kwestia zasad, tak?

- Mniej więcej.

- Znow ten rycerz na białym koniu, a chodzi tylko o elementarną uczciwość. Nie wydałbym twojej ciotki z tego samego powodu, z którego nie mogę udawać, że jej nie odnalazłem. Dałem słowo, więc doprowadzę ją na policję bez względu na to, kto będzie mi próbował w tym przeszkodzić.

Czyli ochronisz ją przed jednym niebezpieczeństwem, żeby narazić na inne.

- Jeśli okaże się to konieczne ...

- Rozumiem ... Skoro postanowiłeś ją chronić, by wywiązać się ze swej obietnicy, czy to oznacza, że nie wydałbyś jej rodzinie Belzonich, nawet gdybym rzuciła cię im na półście?

- Nie, nie wydałbym.

- Bez względu na to, jakich metod by użyli, żeby cię przekonać do zmiany zdania? - Taką mam nadzieję.

- W takim razie gdybym cię wydała, kupiłabym jej trochę czasu na ucieczkę.

- To prawda. Jeśli oczywiście uznalabyś, że to najlepsze wyjście.

Zachowywał się tak nonszalancko, że nie była pewna, czy dociera do niego znaczenie jej słów. - Nie wiem, czy najlepsze, ale ciągle uważam, że miejsce mojej ciotki nie jest w więzieniu.

- Nawet dla jej własnego bezpieczeństwa?

- Przecież dobrze wiesz, jak działa nasz system sprawiedliwości. Jak już się dostanie w jego tryby, motyw zabójstwa mężczyzny zostanie zbagatelizowany, bo przemoc domowa jest tak powszechna, że przestaje robić na kimkolwiek wrażenie. Policja zakończy śledztwo, prokurator odfajkuje kolejny sukces i wszyscy będą szczęśliwi. Nie chcę, żeby stała się kozłem ofiarnym. Poza tym z mafijnym wyrokiem Kim ma małe szanse, by długo pośyć w więzieniu.

- Widziałaś za dużo seriali kryminalnych.

- Nie traktuj mnie protekcyjnie. Mam rację i doskonale o tym wiesz.

- A jeśli powiem, że zrobię wszystko, by temu zapobiec?

Nie chciała nawet przyznać sama przed sobą, jak bardzo chciałaby polegać na jego słowie. Instynkt podpowiadał jej, iż może mu zaufać, ale nie poddawała się temu przeczuciu, jako że gra toczyła się nie

o jej życie.

- To zbyt mało. - Pokręciła głową.

- Oczekujesz gwarancji na piśmie? A może cyrografu podpisanego krwią? Kto wie, może krew faktycznie się poleje ...

Jak widać, liczył się z tym, że może zostać ranny lub zginąć, ale nie przejął się tym zbyt, tylko szykował do walki z bandytami, by bronić dwie obce sobie kobiety.

Jeszcze niedawno Lara nie miała pojęcia o jego istnieniu, a teraz myśl, że miałby ucierpieć, przyprowadziła ją o ból. Nie chciała być za to odpowiedzialna, a jednocześnie nie mogła przyczynić się do nieszczęścia ciotki.

Demariusz dał jej wybór: Kim albo Adam, co było wręcz szatańsko perwersyjne. Jak miała wybierać, czyje życie jest cenniejsze?

Pozostała tylko nierówna walka i liczenie na cud. Pytanie tylko, czy mogli sobie z Adamem zaufać na tyle, by połączyć siły i ramię w ramię ruszyć do boju.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Zaskrzypiały drzwi i do kuchni weszła Kim.

Ubrana w biały szlafrok, wyglądała jak duch. Adam obawiał się, jak przyjmie relację z rozmowy, którą właśnie odbyli z bandytami. Mogła wpaść w histerię, przecież chodziło o jej życie.

Zauważył wiszący na ścianie telefon. Wprawdzie nietrudno było przewidzieć, że jest nieczynny, lecz postanowił to sprawdzić. Przeszedł więc do drugiego pomieszczenia, by Kim i Lara mogły swobodnie

porozmawiać o ostatnich wydarzeniach i ustalić jakąś strategię.

Oczywiście telefon milczał. Cóż, była jeszcze komórka. Na razie jednak Adam zastanawiał się nad powstałą sytuacją. Niewątpliwie swoją obecnością bardzo pokrzyżował Demariusowi plany.

Przyjechało tylko trzech gangsterów, bo uznali, że łatwo poradzą sobie z dwiema kobietami, lecz spotkała ich niespodzianka. Po przeszukaniu auta dowiedzieli się, że Adam ma pozwolenie na broń, więc atak na dom groził poważnymi konsekwencjami. Nie wiedzieli, że pistolet pozostał ukryty w samochodzie. Postawiony przed Larą wybór był przejawem desperacji. Co jednak gangsterzy zrobią, kiedy Lara odmówi współpracy?

Gdyby był sam, po prostu schroniłby się w lesie. Jako chłopak, namiętnie włóczył się po tych terenach, znał każdy rów i strumyk, pamiętał przebieg wszystkich leśnych dróg. Czatujący na zewnątrz bandyci, przyzwyczajeni do życia w mieście, byłiby kompletnie bezradni. Niestety w towarzystwie dwóch kobiet takie rozwiązanie nie wchodziło w rachubę. Jedynym sensownym wyjściem było zadzwonić po posiłki i nie wychylać nosa za drzwi.

Odwiesił słuchawkę i sięgnął po komórkę, którą zostawił na kuchennym stole i zaczął wybierać numer

biura Roana.

Wtedy w salonie rozległ się krzyk. Adam rzucił komórkę na blat i wybiegł z kuchni. Kim Belzoni siedziała skulona w fotelu z twarzą ukrytą w dłoniach, Lara zaś kuciała przy niej. Gdy wpadł z

impetem do pomieszczenia, podniosła na niego zaniepokojone spojrzenie.

- Co się stało?! - zapytał, szukając wzrokiem śladów walki.

- Nic, tylko ...

- Nic?! - Ciotka uniosła zalaną łzami twarz. - Trzech bandziorów czeka na dworze, żeby mnie zabić, a ty mówisz, że to nic? Nic, mimo że byłam bita i poniżana we własnym domu! Nic, mimo że teraz muszę czekać beczynnie, a moja siostrzenica i całkiem obcy mężczyzna decydują o moim losie. Nie wytrzymam tego ! Nie wytrzymam !- Zaczęła histerycznie szlochać.

- Mówiłam ci, że wszystko będzie dobrze

- uspokajała Lara, gładząc ją po ramieniu. - Nie pozwolimy, by ci bandyci cię skrzywdzili.

- Ale on i tak przekaże mnie policji. - Spojrzała na Adama z wyrzutem. - Równie dobrze możesz mnie od razu zabić.

- Daj spokój! Nie wiesz, co mówisz.

- Właśnie że wiem! Nie masz pojęcia, jak wygląda więzienie, a ja byłam kiedyś z Ernestem w odwiedzinach u jego brata. Widziałam na własne oczy, jak tam jest. Brzydko, ponuro, zero prywatności. Poza tym w więzieniu będę musiała cały czas mieć się na baczności, bo rodzina Ernesta

na pewno naśle na mnie mordercę. Jeśli przeżyję więzienie, będzie to prawdziwy cud.

- Zabiłaś człowieka - przypomniał Adam.

- Myślałaś, że unikniesz konsekwencji?

- Gdybym go nie zastrzeliła, on zamordowałby mnie!

- Nie pójdziesz do więzienia, jeśli nie zostaniesz skazana, a nie zostaniesz skazana, jeśli udowodnisz, że nie planowałaś tego zabójstwa z zimną krwią, lecz działałaś w obronie własnej. Ale żeby to udowodnić, musisz stanąć przed sądem.

- A co, jeśli rodzina Belzonich zasila fundusz emerytalny sędziego, na którego trafię?

- Wtedy wniesiesz o zmianę składu sędziowskiego albo złożysz apelację.

- Za co? Prokuratura na długie lata zajmie majątek Ernesta, a ja nie mam prawa do odszkodowania z jego polisy ubezpieczeniowej. Gdyby nie to, *Śe odłóŚyłam trochę pieniędzy, byłabym bez grosza.*

Nie, muszę uciekać. Nie mam innego wyjścia.

- A zastanowiłaś się, co stanie się z Larą? Albo ze mną?

- W takim razie wszyscy ucieknijmy.

Kim Belzoni wpatrywała się w jego oczy z taką intensywnością, jakby chciała go w ten sposób zmusić

do zastosowania się do jej sugestii.

- Najlepiej będzie, jak zadzwonimy do Roana. W ciągu dziesięciu minut przyjedzie tu z tuzinem uzbrojonych po zę *by* ludzi.

- I zabierze mnie do aresztu? Dziękuję, ale nie.

Nie dało się rozsądnie z nią rozmawiać. Adam zerknął na Larę, oczekując od niej pomocy, ale ona milczała, jakby oczekiwała od niego, *Śe coś wymyśli.* Tyle *Śe* nic mu nie przychodziło do głowy. Po prostu kompletna pustka, zero pomysłów, jak wyplątać się z tej matni. Nie była to przyjemna świadomość, więc ruszył do kuchni, gdzie zostawił komórkę.

- Zaczekaj - zawołała za nim ciotka Kim.

Siedziała ze schyloną głową, skubiąc połę frotowego szlafroka. - Przepraszam, zachowuję się strasznie

samolubnie. Przeze mnie znaleźliście się w paskudnej sytuacji. Za nic w świecie nie chciałabym

narazić na niebezpieczeństwo ani Lary, ani ciebie. Gdybym tylko mogła coś zrobić, na pewno bym się

nie wahała ...

- Och, ciociu Kim ... - odezwała się miękkim głosem siostrzenica, nie przestając gładzić jej po ramieniu.

- Naprawdę nie wiem ... Mam taki mętlik w głowie. Czasem wydaje mi się, *Śe* to koszmary sen, z którego zaraz się obudzę. Gdy zamknę oczy, ciągle widzę Ernesta, jak mnie bije, a ja padam na

nocną

szafkę. Gdy w nią uderzyłam, otworzyła się szuflada, a w środku leżał pistolet. Nie wiem, jak to się stało, mam dziurę w pamięci, a potem *widzę* Ernesta, jak trzyma się za pierś, a spomiędzy palców wypływa mu krew.

A więc była to jednak obrona własna, pomyślał ze współczuciem Adam. Chyba że Kim Belzoni była doskonałą aktorką.

- Czemu od razu nie zadzwoniłaś po policję i karetkę? - zapytał łagodnie.

- Co do karetki, to wiedziałam, że już nic nie jest w stanie mi pomóc. A poza tym spanikowałam.

Wypadłam z domu, półprzytomna szłam przed siebie. Trochę doszłam do siebie dopiero w taksówce, gdy wyjechaliśmy z Nowego Orleanu. Ciągle miałam broń, trzymałam ją na kolanach ...

Znowu łzy pociekły jej po policzkach, zakryła twarz dłońmi. Chwilę później podniosła się, przeprosiła ich gestem i wyszła do kuchni, pewnie po chusteczkę do nosa. Gdy zamknęły się za nią drzwi, Adam spytał Larę:

- Wierzysz jej?

- A czemu miałabym nie wierzyć?

- Choćby dlatego, że to wręcz podręcznikowa opowieść o obronie własnej. Bardzo to wygodne, pozbyć się niechcianego męża i jeszcze wyjść na męczennicę. Każdy sąd, który przyjmie tę wersję, musi wydać wyrok uniewinnia ...

- Jak możesz! - krzyknęła Lara. - Nie widziałeś, jaka była zdenerwowana?

Wzruszył ramionami.

- W tej sytuacji każdy by się zdenerwował, nieważne, czy była to obrona własna, czy też morderstwo

z premedytacją.

- Daj spokój! - śachnęła się.

- Naprawdę chciałbym jej wierzyć, zwłaszcza gdy zobowiązałem się doprowadzić ją na policję.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Cóż, w Luizjanie najpowszechniejszą karą za zabójstwo jest wstrzyknięcie trucizny ...

Lara zdrętwiała na całym ciele.

- Być może opowiedziała tę historię, żeby zyskać współczucie, ale na pewno nie po to, by przekonać cię do zmiany decyzji. Ciocia Kim nigdy nie narzucała innym swojej opinii, nie próbowała nikogo zmieniać na siłę. Z dzieciństwa zapamiętałam ją jako zawsze uśmiechniętą, przyjazną osobę, pełną przeróżnych pomysłów. Budziła zainteresowanie, przyciągała do siebie ludzi. Niestety miała w sobie

za mało wytrwałości, by realizować ambitniejsze cele, które przed sobą stawiała. Wiele rzeczy zdarzało jej się mimo woli, nie panowała nad swoim życiem. Jeśli więc faktycznie zamordowała męża, to z pewnością nie miała innego wyjścia.

- Czy jak się tu zjawiała, nadal miała pistolet?

- Tak, leżał na przednim siedzeniu auta.

Chciała, żeby się go pozbyła, bo sama nie była w stanie go dotknąć.

- Zakopałaś go gdzieś? Rzuciłaś w krzaki?

- Właśnie zamierzałam się go pozbyć, kiedy usłyszałam silnik twojego samochodu, więc wróciłam z nim do domu. Jest na górze, w mojej sypialni.

- Czy mogłabyś przynieść ...

Urwał, gdy z kuchni dobiegł go podejrzany dźwięk. Od jakiegoś czasu słychać było plusk wody.

Trwało to zbyt długo jak na obmycie twarzy czy też na pełnienie szklanki. Adam ruszył w tamtą stronę.

Kim stała plecami do wejścia, ale słysząc kroki, odwróciła się w kierunku wejścia. Z lewej komory zlewu wydobywała się piana z płynu do mycia naczyń. Zanim zdążył tam dojść, Kim sięgnęła po jego telefon komórkowy.

- Nie! - krzyknął, ale nie posłuchała.

Szybko rozwarła palce, a aparat z pluskiem wyśladał w wodzie. Piana chlupnęła na wszystkie strony. Adam zaklął i rzucił się na ratunek. Błyskawicznie wyłowil aparat z gorącej wody. Lara, która

weszła tuż za nim, stała jak wryta w drzwiach. Gdy odzyskała głos, zasypała ciotkę pełnymi wyrzutu pytaniami, ale Kim milczała uparcie. Lara tylko w jeden sposób potrafiła wytłumaczyć zachowanie ciotki: bardziej niż czających się za domem bandytów bała się policji i więzienia.

Adam zaczął wycierać telefon papierowym ręcznikiem, potem zdjął obudowę i odsączył wodę ze środka.

Po chwili spróbował uruchomić aparat. Nic. Kolejne próby zakończyły się takim samym rezultatem.

- Jak się domyślam, nie masz czegoś takiego? - zwrócił się przez zaciśnięte zęby do Lary.

- Nigdy nie potrzebowałam komórki.

- Więc to się zmieniło. Telefon stacjonarny jest odcięty. A ty? - burknął w kierunku Kim.

Opadła na krzesło przy kuchennym stole, jakby unicestwienie telefonu wyzuło ją z resztek energii.

- Nie przy sobie. Wpadł mi z torebki, gdy szukałam karty na stacji benzynowej. Jest gdzieś w aucie, na podłodze.

- I co teraz? - Lara zerkała to na ciotkę, to na Adama.

- Czy któraś z was umie posługiwać się bronią? Oczywiście nie chodzi mi o strzelania na oślep do męsa - dodał zgryźliwie.

- Adam! - Lara zgromiła go wzrokiem.

- Możemy się tu zabarykadować i bronić się w domu jak w twierdzy - wyjaśnił.

- Ja potrafię strzelać - cicho powiedziała Kim.

- Mój trzeci mąż uwielbiał polowania, spędziliśmy miesiąc miodowy na safari, choć trudno go nazwać

miodowym, skoro mąż spędzał więcej czasu ze strzelbą niż ze mną. Nasz przewodnik uznał, że dla

własnego bezpieczeństwa powinnam się nauczyć strzelać, więc wzięłam u niego kilka lekcji.

- Jak rozumiem, było tam całkiem wesoło. Który z nich, mąż czy przewodnik, w końcu cię ustrzelił i mógł uznać za swoje trofeum? - wyrwało mu się, nim zdążył ugryźć się w język.

- śaden. Nie lubię konkurować z inną zwierzyną łowną - odparła z zaskakującym przebłyskiem humoru.

- Na twoim miejscu nie mówiłbym o tym sędziemu - poradził z uśmiechem. - Mógłby dojść do błędnych wniosków.

- OK, mamy jeden pistolet, oni co najmniej trzy. Jakie są więc nasze szanse? Sądzę, że niewielkie - zmieniła temat Lara.

- A masz lepszy pomysł?

- Moglibyśmy się wymknąć tylnym wyjściem, pobiec przez las do sąsiada i zadzwonić do Roana.

- Jeśli nie obstawili wyjść, są głupszy, niż mi się zdawało.

- Pewnie masz rację.

- To prawda, mamy tylko jeden pistolet, ale również mnóstwo innej broni. - Było jasne, że Adam obejmuje dowództwo. - No, tasaki, młotki i inne ślasko. Do tego środki czystości, które można przerobić na broń chemiczną. Na początek potrzebuję jakiegoś środka do czyszczenia rur kanalizacyjnych, płynu do mycia naczyń i ślasko.

- Chcesz przez to powiedzieć, że ciocia Kim i ja mamy szatkować naszych wrogów nożami i tasakami,

łuc ich młotkami i obrzucać pociskami chemicznymi?

- Ujęłaś to nad wyraz precyzyjnie. A jeśli brak ci bojowego ducha, zwanego też morderczym instynktem, wyobraź sobie, że rzucasz tym wszystkim we mnie.

- O, to już jakaś zachęta. - Uśmiechnęła się lekko.

- Na pewno pomożesz.

Jakby nie miał nic lepszego do roboty, nagle zachwycił się cudownym kształtem jej ust. Co za

idiotyzm! - zgromił się w duchu. Groziła im śmierć, a jemu takie myśli w głowie.

- A więc, drogie panie, zabierajmy się do pracy.

Lara odwróciła się na pięcie i wyszła z kuchni w poszukiwaniu chemicznych środków bojowych, natomiast przerażona Kim stała w bezruchu. Adamowi zrobiło jej się szkoda. Widać było, że nie do końca mu ufa, a jednocześnie nie ma innego wyjścia, jak bezwarunkowo poddać się jego przywództwu.

Rozumiał ją za dobrze, co czuła.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Lara przemykała po cichu przez ciemne pokoje.

Nie zapalała świateł, by bandyci nie zaczęli podejrzewać, że w domu dzieje się coś niezwykłego. Z pewnością uważali, że wszyscy troje siedzą w panice w jednym pokoju, z przerażeniem oczekując dalszego rozwoju wypadków.

Co by zrobiły z ciotką, gdyby były same?

Pewnie już byłyby po wszystkim ... Jednak obecność Adama zmusiła bandytów do zmiany planów.

Być może ostateczny rezultat będzie taki sam, ale przynajmniej mają jakąś szansę.

Odwaga i wierność. Kolory aury, oznaczające te cechy, teraz były jeszcze bardziej widoczne wokół jego sylwetki. Dołączyła do nich następna barwa, a mianowicie złota poświata poświęcenia. Lara nie tylko ją widziała, ale też czuła całą sobą, tak bardzo intensywnie, że chwilami zapierało jej dech w piersiach. Wiedziała, że spadło na nią dodatkowe zagrożenie, bo jak łatwo mogłaby się w tym odczuciu zatracić, a przecież nie potrzebowała takich komplikacji - nie tylko w tym momencie, lecz w

ogóle. Dotychczasowy styl życia w zupełności jej odpowiadał. Była szczęśliwa, żyjąc w samotności,

nie potrzebowała męskiego towarzystwa, nawet seksu. Doskonale sama sobie radziła i nie widziała potrzeby, by to zmieniać.

Zatrzymała się na półpiętrze, by wyrzucić przez okno. Roztaczał się z niego widok na podjazd.

Kierowca wciąż siedział w limuzynie, tak więc jemu przypadło zadanie pilnowania frontowych drzwi.

Dwóch pozostałych gangsterów nie było widać, najpewniej więc, zgodnie z przypuszczeniami Adama,

obstawili tyły domu.

Lara postanowiła jednak dokładnie przemyśleć możliwość ucieczki, może się bowiem okazać, że będzie to ostatnia deska ratunku. Gdy objuczona chemikaliami schodziła na parter, miała już kilka pomysłów.

Adam z miejsca przystąpił do produkcji broni chemicznej.

- Jeśli robisz to, co myślę, to raczej nie jestem zachwycona - stwierdziła po chwili, spoglądając mu przez ramię. - Podpalenie domu mojej babci nie jest najlepszym lekarstwem na nasze problemy.

- Mam nadzieję, że to nie będzie konieczne.

- Ale rozważasz taką możliwość?

- A masz jakiś lepszy pomysł?

- Stare wiktoriańskie domy były przeznaczone dla rodzin wielopokoleniowych, dlatego miały kilka wejść, żeby zapewnić mieszkańcom poczucie prywatności. Tak jest i tutaj. Z pokoju śniadaniowego i z saloniku na poddaszu można zewnętrznymi schodami dostać się prosto do warzywnika.

- I myślisz, że nasi przyjaciele o tym nie wiedzą? Ze tych akurat wyjść nie obserwują?

- Cóż, nie mogą być wszędzie jednocześnie. Zresztą oprócz drzwi jest tu mnóstwo okien, przez które można się wymknąć.

- Rozumiem. Ja mam strzec zamku, podczas gdy ty uciekniesz z wieży, żeby wezwać pomoc. -

Mówmy poważnie - obruszyła się. - To dobry plan. I nie obawiaj się, nie zostawię cię tu na pastwę losu.

- Wiem ... ale jeśli cię złapią? Wtedy ci dranie podprowadzą cię pod drzwi z lufą przy głowie i

zaśądaję wydania Kim. Co mam wtedy zrobić? - To co teraz. śadnych negocjacji, Śadnych układów.

- Twoje Śycie za Śycie Kim, taki będę miał dylemat. Zresztą juŚ to przerabiałaś. Miałaś wybrać między ciotką a mną. I wybrałaś nas oboje ... bo mogłaś to zrobić. Ja będę musiał wybrać jedną z was.

Dlatego twój plan nie jest dobry.

- Tak... - Lara zadumała się głęboko.

W tym momencie Kim podniosła się zza kuchennego stołu.

- Pójdę się przebrać. Nie mam ochoty dłuŚej przysłuchiwać się waszym sporom, a cokolwiek mnie czeka, powinnam stawić temu czoło w czymś innym niŚ szlafrok.

- Proszę bardzo - mruknął Adam, nie patrząc nawet w jej stronę.

- Niestety, nie mam nic do ubrania poza tą suknią, w której przyjechałam. Wprawdzie kupiłam jakieś ciuchy, ale zostały w aucie. Mogłabym poŚyczyć od ciebie dŚinsy, Laro?

- Bierz wszystko, czego potrzebujesz.

- Dzięki. Zostawię was na moment samych. Tylko nie kłóćcie się za bardzo, dobrze?

Po jej wyjściu zapanowała niezręczna cisza.

Lara przypatrywała się, jak Adam wyrabia palcami jakąś gumowatą masę, przypominającą materiały wybuchowe, jakie pokazywano w telewizji, gdy była mowa o terrorystach.

- Pewnie trzeba w coś to zapakować? - odezwała się wreszcie.

- Tak, właśnie o tym myślałem. Masz moŚe opakowanie po margarynie lub kefirze? Albo folię spoŚywczą?

- Raczej nie. - Pokręciła głową. - Moja babcia była bardzo staroświecka. Nie brała do ust margaryny,

piła colę ze szklanych butelek, bo tylko taka jej smakowała, produkty spoŚywcze przechowywała w zabytkowych szklanych pojemnikach. Ale moŚe mam gdzieś torbę na śmieci.

Przeszła do spiŚarni, by po krótkiej chwili powrócić z plastikowym workiem. Przyniosła teŚ kilka

szklanych butelek po coli, naftę do lampy, paczkę knotów oraz pudełko świeczek na tort urodzinowy.

Adam, ujrawszy to wszystko, z entuzjazmem pokiwał głową.

- Nafta ... masz naftę!

- Często zdarzają się tu przerwy w dostawie

prądu, dlatego wszyscy mają w domach latarki i zapas baterii, lecz babcia, jako zatwardziała tradycjonalistka, wołała lampy naftowe. Miała więc i naftę.

- Czyli naszą zabójczą broń - stwierdził Adam.

- Koktajl Mołotowa - domyśliła się Lara.

- Oczywiście. Lepsza byłaby benzyna, ale nafta do lamp teŜ powinna być dobra.

- Gdzie się nauczyłeś pirotechniki?

- Grzechy młodości. Kiedy byłem w podstawówce, jeden z kolegów podwędził ojcu, który był emerytowanym wojskowym, podręcznik przeznaczony dla Őłnierzy szkolonych do działań na tyłach wroga. Taki poradnik "Radź sobie sam". Najbardziej nas zainteresował rozdział poświęcony konstruowaniu ładunków wybuchowych z ogólnie dostępnych materiałów. Zabraliśmy się z braćmi i kumplami ostro do pracy. Wyszadziliśmy w powietrze niejedną polną głąz, zatrzymaliśmy bieg strumienia, powodując podtopienie farmy, spaliliśmy szopę, niewiele brakowało, a puścilibyśmy z dymem siedzibę rodu.

- To byłaby wielka strata.

Grand Point, podobnie jak pozostałe rezydencje Benedictów, pochodził z czasów wojny secesyjnej i był przepięknym, dobrze zachowanym zabytkiem ówczesnej architektury.

- Tata teŜ tak uwaŜał. - Uśmiechnął się z rozrzewnieniem. - Sprzął nas na kwaśne jabłko, ale nie mieliśmy mu tego za złe. Jednak mama twierdziła, Őe przesadził, Őe ogranicza nasz rozwój

intelektualny i wyobraźnię. Straszliwie się wtedy pokłócili. Niedługo później odeszła od niego i od nas.

- To nie była wasza wina.

- Byłem najstarszy, powinienem był wykazać się odpowiedzialnością.

- Chodzi mi o odejście waszej matki. Nie powinieneś się obwiniać za to, że was zostawiła. Dzieci często mają do siebie ślad w takich sytuacjach, choć najczęściej po prostu rodzice nie potrafią dłużej być z sobą. Chyba że któreś z nich zmieni się diametralnie, by dostosować się do oczekiwań współmałżonka ...

- Przecież wiele par tak właśnie robi.

- Raczej robiło. To kobiety się zmieniały, bo tego od nich oczekiwano. Bo nie miały innego wyjścia, nie dałyby sobie same rady. Niektóre dalej tak postępują, bo kochają tych swoich mężczyzn ponad wszystko. Ale są też i takie, które nie potrafią się poświęcić, więc odchodzą, by ocalić siebie.

Adam w zadumie owijał zabójczą masę w kawałek worka na śmieci.

- Moja matka była artystką. Często przy sztaludze zapominała o bożym świecie, a stojący na kuchence

obiad przemieniał się w zwęglone resztki. Ojciec uważał, że marnuje czas, zamiast zająć się na przykład sprzątnięciem. Zarzucał jej też, że pobłaża nam nie z jakichś tam wyższych pobudek, ale dla świętego spokoju. Miał też do niej pretensje za jej kulinarne wyczyny. Był to typowy konflikt między pragmatykiem a artystyczną duszą.

- A ty trzymałeś stronę ojca. Podniósł na nią zdziwione spojrzenie. - Skąd ci to przyszło do głowy?

- Bo jesteś taki jak ojciec.

- Skoro tak mówisz, zupełnie mnie nie znasz.

Zaskoczona, stała chwilę w bezruchu. Była tak przyzwyczajona do tego, że instynkt nie zawodził jej w

kwesji temperamentów czy osobowości, dlatego na ogół nie weryfikowała pierwszego wrażenia.

Zdawała sobie sprawę, że jest to dość arogancka postawa, ale uzasadniały ją nieodmiennie trafne

diagnozy.

- CzyŜbyś uwaŜał, Ŝe twoja matka miała prawo odejść? - Zmarszczyła brwi.

- Wtedy oczywiście nie. Jak kaŜde dziecko w takiej sytuacji, byłem wściekły zarówno na ojca, Ŝe jej nie zatrzymał, jak i na nią, Ŝe nas zostawiła. Ale kiedy wyprowadziłem się do Nowego Orleanu, poznałem ją lepiej i zrozumiałem jej motyw.

- Więc teraz jesteście sobie bliscy?

- W miarę tak, choć najlepiej nam się układa, gdy nie wchodzimy sobie za bardzo w drogę. Co ciekawe, jak na kogoś, kto twierdzi, Ŝe nigdy nie nadawał się na matkę, niezwykle mocno entuzjazmuje się wnukami.

- A ciebie dzieci nie interesują?

Podawała mu lejek, by wlał do butelek naftę.

- Interesują, ale najpierw trzeba znaleźć dobrą Ŝonę, z którą chciałoby się mieć te dzieci. - Zamilkła na

chwilę. - A ty? - zapytał, nie patrząc w jej stronę.

- Co ja?

- Wiesz doskonale, o co pytam. Czemu nie masz jeszcze męŜa i gromadki dzieci?

- MęŜczyźni czują się przy mnie nieswojo. - Uśmiechnęła się kpiąco. - Nie przepadają, gdy czytam im w myślach.

- Naprawdę? Moim zdaniem taka sytuacja ma kilka oczywistych zalet.

- Wierz mi, Ŝe jednak więcej wad. Wyobraź sobie Ŝonę, która zawsze wie, Ŝe wpadłeś w debet, a nawet umie podać jego wysokość. Albo kiedy myślisz o panienkach w bikini.

- Wyobraź sobie Ŝonę, która doskonale wie, czego mi w danej chwili trzeba.

- Albo taką, która wie, kiedy pomyślisz o niej per wiedźma.

- Albo taką, która wie, kiedy fantazjuję sobie, co wieczorem zrobimy w łóŜku.

- Ech, sam nie wiesz, co mówisz - Ŝachnęła się.

- Naprawdę? Uważasz się za inną, tajemniczą, ale martwię cię. Dla większości mężczyzn kobiety umysł jest zagadką, tak więc twój jest po prostu nieco większą zagadką, i tyle.

Była zaskoczona jego słowami. Nigdy jeszcze nie spotkała mężczyzny, który z takim spokojem przyjmował jej specyficzne uzdolnienia. Kusiło ją, by odrzucić wszelkie opory i zbliżyć się do niego,

przyjął tę akceptację, którą widziała w jego oczach. Przerażona własnymi myślami, cofnęła się gwałtownie, szukając dystansu, oddalenia.

- Co się stało? - zdziwił się.

- Nic. - Zwiły usta. - Na zewnątrz jest tak cicho, zastanawiam się, co porabiają nasi goście.

Przez chwilę milczał, nasłuchując uważnie.

- W domu też jest dziwnie cicho. Zwłaszcza na górze.

Skinęła głową, zadowolona ze zmiany tematu.

- Pójdę zobaczyć, czy u ciotki wszystko w porządku.

Na palcach przeszła przez salon, a stamtąd na schody. Zapukała do drzwi gościnnej sypialni.

Odpowiedziała jej cisza. Zapukała więc jeszcze raz, po czym zaniepokojona weszła do pokoju. Nie było w nim żywej duszy. Szlafrok leżał pośrodku niezastanego łóżka, a ze staroświeckiej toaletki zniknęła torebka. Buty na obcasie, jeszcze niedawno leżące niedbale pod łóżkiem, takse wyparowały.

Tknięta przecuciem, odwróciła się na pięcie i pospieszyła do swojej garderoby, gdzie zastała powysuwane szuflady i zwisające z nich niechlujnie ubrania. Szybko zauważyła brak czarnych dżinsów i takiejse koszulki. Wniosek nasuwał się sam. Ciotka Kim zniknęła.

Lara wyrzucała sobie, że powinna była pamiętać, iż ciotka, wychowana w tym samym domu, równie dobrze jak ona znała wszystkie sekretne wyjścia. Nagle przyszło jej coś do głowy. Niestety, szybkie zerknięcie pod poduszkę potwierdziło jej obawy.

Pistolet, którym Kim zabiła swego męża, takse ulotnił się jak kamfora. Jedyna w całym domu broń z

prawdziwego zdarzenia ...

ROZDZIAŁ ÓSMY

- Co teŜ jej, do licha, strzeliło do głowy? - zdenerwował się Adam. - Gdzie ją poniosło?

Ani on, ani Lara nie znali oczywiście odpowiedzi na te pytania. Adam wyrzucał sobie, Ŝe powinien był przewidzieć postępek Kim, przecieŜ przez całe Ŝycie uciekała. W trudnych sytuacjach po prostu reagowała w taki sposób, czyniła to wręcz instynktownie. Gdyby przemyślał sprawę i w porę zatrzymał ciotkę Lary, nie naraŜałaby teraz Ŝycia, biegając po lesie, ścigana przez Ŝołnierzy rodziny Belzonich.

- Pewnie się bała, Ŝe ją opuścisz, kiedy dojdzie do statecznej rozprawy.

- Jak to? - Zmarszczył brwi. - PrzecieŜ moje intencje od początku były oczywiste. Robiłem wszystko, by zapewnić jej bezpieczeństwo. Doskonale wiedziała, Ŝe trzymam z wami, a nie z mafią.

- Z nami tak. Ale ze mną czy z nią?

- Nie rozumiem ... ach, rozumiem! Kim słyszała naszą rozmowę, kiedy zastanawiałem się, co zrobię, kiedy ... - Złapał się za głowę.

- Kiedy będziesz musiał wybierać między nami. Jej Ŝycie albo moje. Dlatego uznała, Ŝe najlepiej będzie zniknąć.

- To były tylko teoretyczne rozwaŜania.

- I całkiem konkretne decyzje, bo na pewno podczas tych teoretycznych rozwaŜań dokonałeś ostatecznego wyboru. Kim zrozumiała, Ŝe będziesz kierował się jej dobrem tylko do pewnego momentu. Gdybym wpadła w ręce tych drani i gdyby dali ci wybór: moje Ŝycie za jej Ŝycie, wiadomo,

co byś zrobił. Dlatego postanowiła zniknąć. Na pewno uznała, Ŝe tak będzie najlepiej dla nas wszystkich. Musiało teŜ wreszcie do niej dotrzeć, na jak wielkie niebezpieczeństwo mnie naraŜała. T

o
prawda, jest' w niej duŜo egoizmu, bywa irytująco zapatrzona w siebie, ale nie mam wątpliwości, Ŝe

szczerze mnie kocha.

- Przejrzała mnie bezbłędnie ... Zaraz, czy ona teŜ potrafi czytać w myślach?

- CzyŜby ci to przeszkadzało?

- Owszem, przeszkadza, i to bardzo - rzucił ze złością.

- Aha ...

- Tak, wiem, co mówiłem o twoim darze. Nie wadzi mi, gdy przenikasz moje myśli, ale jeśli w mojej głowie ma grzebać cała twoja rodzina ...

- Rzeczywiście, masz rację.

- Czy dzięki tym waszym telepatycznym zdolnościom, o ile w ogóle istnieją, moŜecie jakoś z sobą współdziałać? To znaczy czy wiesz, dokąd poszła Kim?

- Cały czas próbuję nawiązać z nią kontakt, choć stara się ode mnie odgradzić ... w stawianiu blokad jest duŜo lepsza ode mnie, to wynika z jej charakteru... ale coś juŜ wiem. Kim nie ma Őadnego planu, po prostu uciekła. Liczy na to, Őe dopomoŜe jej przypadek, kogoś spotka, ktoś jej pomoŜe ... zawsze tak postępuje i zawsze spada na cztery łapy. Musimy ją dogonić!

- Dogonić? Myślisz, Őe ci faceci tak po prostu pozwolą nam wyjść? Nawet jeśli jakimś cudem Kim im
zwieje?

- A co, jeśli odkryją, Őe uciekła? Będą ją tropić jak łowną zwierzynę, aŜ wreszcie dopadną i bez mrugnięcia okiem zabiją.

Gdy zdał sobie sprawę, Őe zacytowała jego myśli, zacisnął ze złości zę by.

- Laro, za pięć minut mija termin ultimatum. Jeśli równieŜ znikniemy z tego domu, ludzie Belzonięgo natychmiast ruszą w pościg. Napraw dę uwaŜasz, Őe nas nie dopadną?

- Mamy wię c nic nie robić?

- Wręcz przeciwnie. Powinniśmy zrobić wszystko, Őeby jak najbardziej opóźnić moment, w którym odkryją jej zniknięcie.

- Rozumiem, tylko ciotka słabo zna te okolice. Choć mieszkała tu, nie przepadała za leśnymi włóczęgami. Najpewniej *więc* będzie biegać w kółko, a *Ŝ* trafi z powrotem do domu. Lepiej ju^Ŝ ją dogonić i wyprowadzić w bezpieczne miejsce - twardo obstawała przy swoim.

- Mamy nikłe szanse, by wymknąć się stąd niepostrzeŝenie. Zróbmy *więc* tak: ja tu zostanę i odwrócę

ich uwagę, natomiast ty przemkniesz do lasu i poszukasz ciotki.

- Chyba nie sądzisz, *Ŝe* zostawię *cię* samego, *Ŝe*byś rzucał koktajlami Mołotowa w facetów, którzy najpewniej mają nie tylko pistolety, ale i karabiny maszynowe. Dzięki za poświęcenie, ale wybij to sobie z głowy.

- Nawet gdyby miało to uratować bezcenną *osobę* twojej ciotki?

- Nawet. Twoje szanse prze^Ŝycia byłyby bliskie zeru.

- Ale jeśli uda nam się wymknąć, jeśli dogonimy Kim i jeśli zdołamy prze^Ŝyc, to i tak oddam ją w ręce policji.

- Wiem. Wprawdzie ona myśli inaczej, ale to dla niej najlepsze wyjście.

W lesie tu^Ŝ za domem rozległy się strzały i jakieś krzyki. Kim Belzoni nie uciekła więc zbyt daleko. A mo^{Ŝe} jednak zdołała umknąć pogoni? W ka^Ŝdym razie próbowała to zrobić, bo niby skąd te strzały i wrzaski.

- Chodźmy! - zdecydował błyskawicznie Adam, zgarniając ze stołu dwie butelki wypełnione naftą - Jeśli ma nam się powieść, to tylko teraz. - Ale ...

- Teraz! - powtórzył stanowczo. - Póki są zajęci czymś innym.

Ruszył do ciemnego salonu i przywarł plecami do ściany tu^Ŝ obok wysokiego okna, wypatrując jakiegokolwiek ruchu na zewnątrz.

- Zdaje się, *Ŝe* jest bezpiecznie - orzekł, gdy Lara stanęła obok.

Cicho otworzyła okno, wychylił się, rozejrzał i wyskoczył, starając się narobić jak najmniej hałasu.

Pomógł wyjść Larze i po chwili posuwali się powoli wzdłu^Ŝ ściany domu, wypatrując najlepszego

miejsca, by rzucić się w kierunku lasu. Przez moment zdawało mu się, że gangsterzy są tak głupi, że nie pilnowali najbardziej oczywistych dróg ucieczki, lecz nagle doleciał ich papierosowy dym. Cóż, pilnowali, ale cokolwiek niedbale. Śarżący się punkcik dokładnie zdradzał miejsce posterunku. Adam cofnął się, podobnie uczyniła Lara.

- Co za kretyn ... Stań przy tamtym rogu.

Zaraz skoczmy w las, tylko zabawię się z tym palantem.

Po chwili Adam wyjął z kieszeni butelkę, zapalił zapałkę, przytknął ją do zwisającego z szyjki knota i

cisnął koktajl Mołotowa w pień dębu, przy którym stał uzależniony od nikotyny mafioso.

Płomienie rozświetliły podwórze. Gangster z krzykiem padł na ziemię, potem zerwał się na równe nogi i pomknął gdzieś w panice. Adam ruszył w drugą stronę, w kierunku lasu, Lara dołączyła do niego.

Za ich plecami zapanował chaos. Ktoś krzyczał, rozległy się strzały, płomienie migotały w ciemności.

Nikt ich nie gonił, jednak bandyci musieli już wiedzieć, że w dziecinny sposób zostali oszukani i dom

jest pusty.

Adam wiedział tylko jedno: muszą oddalić się na bezpieczną odległość, zmylić ewentualną pogoń, a dopiero potem zastanowić się, jak znaleźć Kim. Jednak Lara miała inne zdanie. Gdy wpadli w gęstwinę drzew i przebiegli ścieżynką kilkadziesiąt kroków, zatrzymała się.

- Wystarczy - stwierdziła szeptem.

- Co wystarczy?

- Tego biegu. Musimy znaleźć Kim.

- Aleś proszę bardzo, prowadź do niej. Jest tu? - Wskazał wschód. - Czy tam? - Wskazał południe. -

A

może ją zawołamy?

- Adam, do cholery ...

- Nie rozumiesz? Najpewniej już ją złapali, a teraz szukają nas. Przede wszystkim musimy stąd zniknąć, a potem zastanowić się, jak ratować twoją kochaną cioteczkę. - Był naprawdę wściekły.

- Więc proszę, wolna droga. Od tej chwili działamy osobno - stwierdziła twardo. Oparła się o drzewo, przymknęła oczy. Rozpaczliwie szukała kontaktu z Kim.

Adam nie znosił, kiedy ktoś narzucał mu swoją wolę, natomiast permanentnie postępował tak wobec innych. Tylko wobec matki bywał uładny, choć też rzadko. Zdarzało się to wtedy, gdy w złości zarzucała mu, że jest tak samo apodyktyczny jak jego ojciec. Wtedy miękł.

Był wściekły na Larę, że tak ostro mu się przeciwstawiła i kazała iść precz, zarazem jednak podziwiał

ją. Postanowił, że najpierw załagodzi sytuację, a potem przeforsuje swoje zdanie. W tym pierwszym był raczej słaby, za to w drugim po prostu znakomity.

- Posłuchaj, Laro, że chcę znaleźć Kim, jednak musimy postępować bardzo ostrożnie, bo jeśli zginiemy, nie zdołamy już jej pomóc. - Lara milczała, uznał więc, że zgodziła się z tym argumentem.

- Jeśli twoja ciotka nie wpadła jeszcze w ich łapy, to być może w panice gdzieś tu się błąka. Mam jednak nadzieję, że zachowuje się przytomnie, to znaczy stara się stąd jak najbardziej oddalić.

Odnalazła jakąś ścieżkę i biegnie nią ile sił w nogach. Jeśli posuwa się na wschód lub zachód, to daleka przed nią droga, a my na pewno jej nie znajdziemy w tej gęstwinie. Jednak jeśli biegnie na północ, to za jakiś czas wyjdzie na pola i łąki. Tam możemy ją wypatrzeć. I tylko tam. Więc ruszajmy w drogę ... Czuję, że ktoś nas ściga ... Nie możemy stać, bo ...

- Kim jest ranna... a w każdym razie coś jej dolega... jest gdzieś blisko... ukrywa się - powiedziała cicho.

- Skąd wiesz? - rzucił niecierpliwie.

- I naprawdę ktoś tu się zbliża.

- Rozumiem ... - Od kiedy zabawiał się w detektywa, wielokrotnie rozwiązywał trudne zagadki,

wiedziony dziwnym przeczuciem. Gdy było już po wszystkim, racjonalizował te zdarzenia, tym bardziej że gdy pisał raport, śledztwo układało się w logiczny proces dochodzenia do prawdy. O przeczuciach oczywiście nie wspominał, zresztą starał się wyrzucać je z pamięci, teraz jednak, w nagłym olśnieniu, zrozumiał, jak wiele zawdzięczał tym niczym nieuzasadnionym olśnieniom. Jakby czytał w myślach przestępców, nieuchwytnych geniuszy komputerowych. Odarci ze swych tajemnic, w rezultacie wpadali w ręce policji. Kiedyś wzbudził wręcz nabożny podziw najlepszych specjalistów

FBI, gdy na samym początku śledztwa, które wyglądało na długie i trudne, włamał się do fantastycznie zabezpieczonej bazy danych rosyjskiej siatki szpiegowskiej, wykradającej najnowsze technologie komputerowe. Analizowali w grupie roboczej szczątkowe informacje, które do tej pory udało się zdobyć, a jego nagle olśniło. Po prostu wiedział, jak dotrzeć do owej bazy, choć w zgromadzonych materiałach nie było ku temu żadnych przesłanek. Usiadł do komputera i po dwóch godzinach miał wszystko skopiowane. Jeszcze tego samego dnia dokonano pierwszych aresztowań. W

raporcie Adam oczywiście odczarował całe zdarzenie, nadał mu racjonalny wymiar. Teraz jednak... Otrząsnął się. Nie czas zastanawiać się nad cudownymi zjawiskami, pora działać.

- Skoro Kim wciąż gdzieś tu jest - powiedział - spróbujmy dotrzeć do szopy, gdzie ukryła swój samochód. I telefon komórkowy.

- Uwierzyłeś mi - szepnęła.

- Być może. Nie wiem... będę musiał to przemyśleć.

- Całkiem niezłe jak na zatwardziałego sceptyka. - Uśmiechnęła się. - No to w drogę.

Ruszyli szybkim, marszowym tempem. Adam, w młodości zaprawiony do leśnych włóczęg, podziwiał

Larę, która w nocnym mroku świetnie sobie radziła w trudnym terenie. Szła tuż za nim, nie odstając ani na krok, nie marudząc i nie narzekając na paskudny los, który zmuszał ją do wysiłku i niewygód.

Zdecydowanie różniła się od kobiet, z którymi dotąd stykał się Adam.

Nagle poczuł, że Lara nie ma za nim. Po prostu to wiedział, jakby naprawdę miał jakiś szósty zmysł. Odwrócił się błyskawicznie. Lara rzeczywiście nie było. Ruszył z powrotem, starając się coś dojrzeć w ciemnościach.

Po kilkunastu metrach natrafił na dużą uschniętą gałąź. Przeskoczył ją - i wpadł na kogoś, kto schylony ciał się na ścieżce.

Rozegrała się krótka walka i po chwili Adam przygwoździł do ziemi przeciwnika.

- Puść mnie, ty idioto! - zawołała Lara ze złością.

- To ty?!

- Nie, Godzilla - syknęła. - Puścisz mnie wreszcie?

- Co się stało? Dlaczego się zatrzymałaś?

- Zobaczyłam UFO.

- Laro ...

- Musiałam teść zawiązać sznurówkę.

Choć już wiedział, że jest cała i bezpieczna, ze strachu wciąż z trudem oddychał. Nie mógł przestać myśleć o tym, co by się stało, gdyby została ranna czy porwana przez bandytów.

- Mogłaś mnie ostrzec!

Narastały w nim złość i frustracja, zwłaszcza że zdał sobie właśnie sprawę, iż w całym tym zamieszaniu zgubił drugi koktajl Mołotowa.

- Gdybym wiedziała, że zareagujesz jak wariat, na pewno bym to zrobiła. Nawet pisemnie - fuknęła.
-

To jak, zleżesz wreszcie ze mnie?

Uśmiechnął się, uspokoił... i nagle poczuł zapach i ciepło ciała Lary, poczuł jej cudowne kobiece kształty. Prawie utracił zdolność myślenia. Wyobraźnia podsunęła mu śmiałe sceny miłosne, dziejące się tu, w ciemnym lesie. Chciał mieć ją tu i teraz, wbrew logice i rozsądkowi. Pragnienie było potężne

i wszechogarniające, jeszcze nigdy nie zdarzyło mu się niczego takiego przeżywać.

Jedynie, co go powstrzymywało, by przystąpić do działania, to świadomość, że gdyby gangsterzy zastali ich w takiej sytuacji, wówczas zginęliby w sposób nad wyraz groteskowy ...

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Gdy Adam wreszcie się podniósł, Lara ogarnęła dziwna mieszanina ulgi i strachu. Nie chciała jednak analizować swych uczuć, tylko szybko zerwała się na nogi.

- Zawiązałaś te sznurówki? - zapytał ostrym tonem.

- Nie pozwolił mi na to pewien cholerny macho - mruknęła ze złością i schyliła się, by wreszcie to zrobić.

- Trzymaj się za mną - mówił rozkazującym tonem. - I niech ci znów jakaś głupota nie wpadnie do głowy. Jasne?

- Do diabła, Adam ... - Nagle zrozumiała, że on po prostu się o nią boi, stąd te pohukiwania. Był jeszcze inny powód jego zdenerwowania. Adam nagle pojął, że niewiele brakuje, by stał się od niej całkowicie zależny. Tak bardzo jej pragnął, że ztracał silną wolę i niezależność. Dlatego próbował być twardy i bezwzględny. Jej złość co nieco zmalała, lecz nie znikła całkiem. - Tak jest, sir.

Jakaś głupota do głowy mi nie wpadnie, przyrzekam - zadrwiła.

Mruknął coś gniewnie, ale na swoje szczęście nie kontynuował tej uprzejmej wymiany poglądów, tylko ruszył w głąb lasu. Lara uśmiechnęła się do siebie i podążyła za nim. Po kilku minutach dotarli do skraju lasu, skąd w nocnej poświacie widać było zarys starej szopy. Wprawne oko mogłoby dostrzec jeszcze ruiny dawnej obory i dużej stajni. Zabudowania te, powstałe w czasach niewolnictwa,

należały do wielkiej plantacji, od kilkadziesiątu jednak lat obracały się w nicość.

Wielkie dwuskrzydłowe drzwi szopy były otwarte. W środku stało auto ciotki Kim, a także stary drewniany wóz i wrak przedpotopowego ford.

Lara chwyciła Adama za ramię.

- Tam! - Wskazała majaczący w ciemności kształt szopy.

Dotknął palcami jej ciepłej dłoni. Usunęli się w cień wielkiego *dę bu*, by z ukrycia zorientować się w

sytuacji. Jak okiem sięgnąć, od oświetlonego wciąż buchającymi w górę płomieniami domu a po czarną ścianę lasu nie było śladu ludzi.

- Cholera, gdzie oni się podziali? MoŜe coś wypatrzyłaś?

Niesamowicie, po raz pierwszy się z nią konsultował! CzyŜby jednak przyjął do wiadomości, Ŝe ona takŜe ma szare komórki?

- Nie ... Ale mogą być wszędzie. Oni nie zrezygnowali, nie wrócili do miasta. Nawet jeśli schwytali ciotkę, na pewno chcą się nas pozbyć, bo jesteśmy świadkami. Musimy dotrzeć do telefonu. To nasze najważniejsze zadanie.

- Masz rację. Trzeba sprowadzić Jacka Whitakera.

- Poczekaj...- Przymknęła oczy. - Oni są gdzieś blisko...nie całkiem blisko, ale niedaleko...Kim teŜ ... jest twarda, silna ... ma w sobie moc, jest wolna, działa... z nimi jest coś nie tak - mówiła cicho,

jak w transie. Wskazała szopę.

- Idźmy tam.

Adam stał jak zaczarowany. Jeszcze niedawno uznałby, Ŝe ma do czynienia z wariatką, jednak jego niedowiarstwo zostało mocno zachwiane. PrzecieŜ niedawno uświadomił sobie, Ŝe sam teŜ miał telepatyczne wizje.

Ruszył bez słowa, Lara za nim. Dotrą do szopy za dziesięć, moŜe piętnaście minut. Zadzwonią po pomoc, nim jednak się zjawi, być moŜe będą musieli zmierzyć się z bandytami. W kaŜdym razie kryminalna historia wreszcie dobiegnie swego kresu.

I co potem?

Lara czuła, Ŝe w najbliższych minutach zdecyduje się cała jej przyszłość.

Ludzkie życie upływa między snem a jawą, między realnym a nierealnym. Choć nie są to zbyt dobre określenia, sugerują bowiem, że pewne rzeczy dzieją się naprawdę, a inne należą do świata ułud.

Nic bardziej mylnego.

Życie psychiczne, w tym również sny, wizje, przeczucia, są tak samo realne jak każda fizyczna czynność. Po prostu się dzieją. Gdy chcemy podnieść szklankę, nasz mózg wydaje polecenie i mięśnie

podejmują pracę. Gdy chcemy oderwać się od kłopotów, nasz mózg pomaga nam uciec w miłe wspomnienia lub fantazje. Możemy zbudować prawdziwy dom z cegieł, możemy też go sobie wyobrazić, zamieszkać w nim z ukochaną osobą, tworzyć swoje szczęście, którego życie nam poskąpiło. W obu jednak przypadkach ten dom naprawdę powstanie jako wynik naszej woli, choć w pierwszym przypadku będzie postrzegany przez wzrok i dotyk, a w drugim - ujrzą go tylko oczy naszej duszy, jak mawiają poeci, choć specjaliści badający funkcje mózgu potrafią wyjaśnić to bez lirycznych ozdobników, za to długo i z naukową precyzją.

Do życia psychicznego należą również telepatia, czyli przekazywanie i odbieranie myśli na odległość

bez pośrednictwa zmysłów, jak i empatia, czyli, mówiąc najogólniej, uczuciowa łączność z innymi osobami. Niektórzy w ogóle pozbawieni są tych zdolności, co można porównać do ślepoty czy głuchoty, jednak ogromna większość posiada je w stopniu choćby minimalnym. Natomiast Lara należała do tych nielicznych geniuszy, których natura wyposażyła najhojniej. Mówiąc wprost, gdyby jej fenomen objawił się w innych obszarach ludzkiego ducha, byłaby równa Michałowi Aniołowi, Szekspirowi czy Einsteinowi.

Nie uważała jednak siebie za kogoś nadzwyczajnego. Wiedziała oczywiście, że dzięki swojemu darowi jest inna od większości ludzi, nie popadała jednak w pychę i traktowała to jako coś naturalnego i oczywistego. Ktoś ładnie śpiewa, ktoś inny fałszuje, ktoś w lot chwyta matematykę, ktoś inny ma kłopoty z tabliczką mnożenia, ktoś czyta w myślach innych ludzi, ktoś inny ani w ząb. Po

prostu.

Umiała jednak, kiedy trzeba, wykorzystywać swoje umiejętności. Dlaczego by nie? Przecież po to właśnie dostała je w darze od losu;

I właśnie teraz, kiedy szli w kierunku szopy na spotkanie z niewiadomym, kiedy zbliżała się ostateczna rozprawa z gotowymi na wszystko bandytami, postanowiła posłużyć się swoim talentem.

Wiedziała, że ta próba zaważy na całym jej przyszłym życiu.

Miała na to kilka minut.

Zza chmur wyszedł księżyc i bladymi promieniami oświetlił twarz Adama. Wpatrywała się w nią jak urzeczona. Wciąż jednak ten mężczyzna, choć kilka razy zaglądała w jego myśli, był dla niej tajemnicą. Musiała znaleźć klucz, by dotrzeć do niego, w pełni zrozumieć.

Mężczyzna ukazuje swoją prawdziwą twarz, gdy kocha się z kobietą. Wtedy porzuca wszelkie pozory, przestaje grać narzuconą sobie rolę, a jego gesty - czułe lub oschłe, agresywne czy nieśmiałe, wielkoduszne albo samolubne - mówią wszystko o jego charakterze i uczuciach.

Gdy ledwie się poznali, Adam opowiedział jej niesłyszana historię o tym, jak półnaga, ubrana jedynie

w rozpięty, srebrzysty jedwabny płaszcz wbiegła mu przed maskę. Jeśli miał taką fantazję, wystarczyło ją zrealizować, a wtedy Lara osiągnie zamierzony efekt. Musiała tylko wkraść się w tę wizję, która niewątpliwie wciąż zaprzętała jego myśli.

Przystąpiła do dzieła, starając się wniknąć w umysł Adama, zaangażować go, pobudzić pragnienie, by

zyskać dostęp do jego wyobraźni. Natrafiła jednak na blokadę, szczelną i nieprzeniknioną. Ból i rozczarowanie były tak silne, jakby przeżyła realne, fizyczne odrzucenie.

Instynktownie bronił się przed nią, wkładając w to mnóstwo psychicznych mocy.

Nagle zasłona, za którą się skrywał, zniknęła.

Adam odwrócił się, spojrzał w oczy Lary. Była pewna, że widział ją wyraźnie nie tylko w rzeczy-

wistości, ale i oczyma wyobraźni. Co więcej, nie stawiał już żadnego oporu.

Mogła więc zrobić to, co sobie zamierzyła. Było to nadzwyczaj niebezpieczne i Lara doskonale o tym wiedziała. Kiedy wymieniała się z ciotką myślami, po prostu prowadziła z nią zwyczajną, choć bezgłośną rozmowę. Tu jednak postanowiła zaangażować potężne emocje, które jak często wymykają się spod kontroli. Nigdy dotąd nie igrała z tymi siłami, była więc jak uczeń czarnoksiężnika, który wprawdzie potrafi wypowiedzieć zaklęcie, ale nie umie przewidzieć jego skutków.

Nie była już jednak w stanie się powstrzymać.

Porzuciła wszelkie obawy, poczuła się wolna, silna i zdolna do rzeczy niezwykłych.

Skupiła się w sobie, na moment przymknęła oczy i przeniosła się w krainę wizji, która tak niedawno, na polnej drodze, bez reszty zawładnęła Adamem.

Zniknęły dżinsy, koszulka i bielizna, naga Larę spowijał jedynie cudownie miękki jedwabny płaszcz.

Srebrzyste promienie księżyca ślizgały się po tkaninie, oświetlając tak kobiece kształty Lary, widoczne między rozchylonymi połami.

Gdyby ich ktoś teraz obserwował, ujrzałby mężczyznę i kobietę wśród nocy zmierzających gdzieś skrajem lasu. Nigdy by się nie domyślił, że podążając pośpiesznie, zarazem w sferze psychicznej, niematerialnej, znajdują się zupełnie gdzie indziej i przeżywają niezwykle zdarzenie, równie prawdziwe jak to, że właśnie szybkim krokiem stąpają po leśnym poszyciu.

Adam ujrzał Larę odzianą jedynie w rozpięty jedwabny płaszcz. Zbliżyła się do niego, położyła dłoń

na jego piersiach, zmysłowo przesunęła na kark. Przyciągnęła ku sobie jego głowę, ich usta spotkały się. Pocałunki były niewiarygodnie zmysłowe, a zarazem ciepłe i czułe. Adam oplótł ją ramionami, przyciągnął bliżej. Przywarli do siebie z całą mocą.

Ich gesty, słodkie i niecierpliwe, były zarazem najczystszy, najszczerzy wyznaniem. Jednocześnie widzieli setki i tysiące obrazów, pokazujących, jak może potoczyć się ich życie. Tak

wiele

możliwości, tak wiele wyborów. Decyzje, które należą tylko do nich. Świadomość, że przyszłość jest

nieznana, lecz mimo to można na nią wpływać.

Rozmawiali z sobą czułym dotykiem, pocałunkiem, pieścizotą. Jednak choć już tak bliscy sobie, wciąż wszystko ich dzieliło. Dopiero gdy wrócą do świata, w którym obowiązują prawa fizyki, doba ma dwadzieścia cztery godziny, a każdy dzień przynosi nowe wyzwania, będą musieli wybrać, podjąć decyzję.

I wtedy wizja zniknęła. Trwała nieobliczalnie krótkie mgnienie, gdyby mierzyć ją czasem realnym, lecz w sensie psychicznym doznanie było pełne i prawdziwe.

Wciąż szli skrajem lasu, jakby nic wielkiego się nie wydarzyło.

A przecie zaszło coś niezwykłego. Lara już wiedziała bowiem, jaki jest Adam. Uczciwy, godny zaufania, odważny, rozsądny, twardo stąpający po ziemi. A przy tym, mimo że tak przesiąknięty racjonalizmem, potrafi przeżywać niepoznawalne, jest delikatny, czuły, zdolny do lirycznych uniesień.

Wiedziała, że wspólnie uczestniczyli w tej wizji. Dla niej była to inna odmiana rzeczywistości, dla niego, być może, fantazja na temat dzieł czyny, której pragnął. Nieważne. Ważne było bowiem tylko

to, jakie prawdy ujawniła ta wizja.

Nagle w nocnej ciszy rozległ się strzał. Adam obrócił się gwałtownie w kierunku, z którego dobiegł huk, natomiast Lara zamarła w bezruchu, wodząc wzrokiem wzdłuż linii lasu.

- Tam! - Ruchem głowy wskazała zarośniętą ścieżkę wiodącą do szopy.

Adam natychmiast puścił się biegiem w tamtym kierunku, Lara za nim. Po chwili spostrzegli, że między drzewami coś się poruszyło. Zwolnili, teraz posuwali się ostrożnie, by nie zdradzić przedwcześnie swej obecności. Weszli między dzikie śliwy rosnące nieopodal szopy.

Lara pełna była jak najgorszych obaw o ciotkę.

Może jest ranna i sponiewierana, zdana na łaskę brutalnych mafioso? Jaki los ją spotka? Czy zanim wreszcie skona, czekały ją straszne tortury? Słaba, bezbronna, lekkomyślna Kim ...

Gdy podeszli jeszcze bliżej, Lara pomyślała, że chyba śni.

Słaba, bezbronna cioteczka Kim stała w groźnej postawie, celując z pistoletu w trzech bandytów.

Demarius pojękiwał cicho, kurczowo trzymając się za zalane krwią ramię, dwaj pozostali pokornie trzymali ręce na karkach.

- A niech mnie! - wyszeptał Adam z podziwem.

- Brawo, Kim - dodała Lara.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- Ciociu! - zawołała Lara.

- Och, kochanie! Bogu dzięki! Już mi ręka zdrętwiała od tego śleństwa.

- Tylko nie strzelaj. - Podeszła do niej. Ciotka zerknęła na nią, po czym znów utkwiała wzrok w bandytach. Widać było, że jest bardzo wyczerpana, pomalowane ciemną szminką usta nienaturalnie kontrastowały z bladą twarzą, ale trzymała się dzielnie.

- Gdzie jest Adam?

- Tutaj - odparł, zbliżając się do Kim.

- Ciociu, wszystko w porządku? Nie jesteś ranna? - dopytywała się Lara.

- Tylko skręciłam kostkę, biegając po ciemku na obcasach po lesie. To drobiazg ... Muszę stąd jak najszybciej uciekać, tylko nie wiem, co zrobić z tymi draniami.

- To znaczy?

- Nie potrafię ich tak po prostu zastrzelić, choć powinnam, żeby wreszcie dali mi święty spokój. Co za

łajdacy! Chcieli mnie zabić!

- Wcale nie - szybko zaproponował Demarius. - Mieliśmy inne rozka ...

- Cisz! - syknęła, celując prosto w jego pierś, tak że skulił się ze strachu.

Jeden z jego kompanów wymruczał pod nosem kilka przekleństw, ale nie miał odwagi choćby się ruszyć. Natomiast drugi wyraźnie czaił się do akcji, podobnie jak Demarius. Adam wyczuł to instynktownie.

Mając baczenie na wszystko, lekkim tonem zwrócił się do Lary:

- Jesteś pewna, że to ta sama ciocia Kim, o której mi opowiadałaś? Piękna, lekkomyślna i bezbronna kobieta, która nie potrafi zatroszczyć się o siebie?

Lara poczuła się trochę głupio, że tak obsmarowała przed nim swoją ciotkę, tym bardziej że Kim w chwili próby wykazała się wielką odwagą, determinacją i przytomnością umysłu.

- Nie o to mi chodziło ...

- Ależ właśnie o to - zaproponowała ciotka. - I miałaś rację, ale przez ostatnie lata trochę się zmieniłam. Kiedy przebywa się długi czas z kimś takim jak Ernesto, człowiek skazany jest na zagładę albo twardnieje i uczy się bezwzględności. Wszyscy mnie lekceważyli, ale udowodniłam, że nie mają racji.

- Też źle cię oceniłem - przyznał Adam. - Tak jak ci trzej. Ustawiłaś ich sobie niczym do egzekucji.

- Szkoda, że z zawodu nie jestem katem - mruknęła mściwie Kim.

- Oni należą do prokuratora - powiedział Adam. - Nie dość, że dostaną solidne wyroki, to jeszcze kumple z mafii zniszczą ich śmiechem. Trzej groźni bandyci pokonani przez drobną kobietę ... -

Spostrzegł, że Demarius powoli przesuwa się w stronę Kim. Było jasne, że chce odebrać jej broń.

Adam groźnie spojrzał na niego. - Nawet tego nie próbuj. Nie starczy ci jednej kuli od pani Belzoni?

- Starczy - warknął Demarius. - Jeśli nie ja, to ty zabierz jej pistolet. To wariatka, jeszcze zrobi nam tu prawdziwą jatkę.

- Stój spokojnie, a być może przeżyjesz - warknął Adam.

- Po się wtrącałeś? Szef i tak jej nie odpuści. Musimy mu ją dostarczyć, jak nie dziś, to jutro.

- Widzicie? - krzyknęła Kim. - I co ja mam robić? Przecież oni nie dadzą mi spokoju. Co z tego, jeśli ich

rozbroiłam i trzymam na muszce? Jak nie ci, to inni będą mnie ścigać.

- Powiem ci, co masz zrobić. Zadzwoń na policję - stwierdził Adam.

- Mam lepszy pomysł. Zwiążemy ich i zamknijmy w piwnicy.

- I co ci to da? Przecież nie będziesz ich więzić w nieskończoność. Zresztą jutro zaczną ich szukać, a

wiedzą, dokąd pojechali. Pamiętaj, ciociu, mafia ci nie odpuści - powiedziała Lara. - Będą cię ścigać

a do skutku.

- Przynajmniej zyskam trochę czasu.

- Och, ciociu. - Lara pokręciła głową z dezaprobatą.

- Zadzwoń do biura szeryfa w Tunica Parish - wtrącił się Adam. - Poproś o rozmowę z Roanem.

- Już to zrobiłam.

- Co? - zdumiał się Adam.

- Inaczej nie mogłam postąpić. Wpędziłam

Larę w kłopoty, ale policja jej pomoże. Natomiast ja muszę się ulotnić. Jak tylko zwiążemy drani, od razu znikam. Za nic nie pójdę do więzienia!

- Wcale nie jest pewne, że zostaniesz aresztowana.

- Myślę, że jednak tak. Musimy ich zaprowadzić do domu i związać. Laro, może masz taśmę klejącą?

- Ciociu, poczekajmy lepiej na policję. Wszyscy, również ty.

- Co z tobą? Czyśbyś trzymała stronę Benedicta? - W głosie Kim pojawił się oskarżycielski ton. -

Przeciwko własnej rodzinie?

- Trzymam tylko ze zdrowym rozsądkiem,

ciociu. Bez pomocy policji nie wygrasz z mafią.

- Nie zamierzam z nimi walczyć, tylko zniknąć. Resztę zostawiam wam i szeryfowi. - Zerknęła na Larę. - Teraz, kiedy jestem już pewna, że policja cię ochroni, mogę się ulotnić.

- Och, ciociu - westchnęła.

- Kochanie, nigdy bym sobie nie wybaczyła, gdyby coś ci się stało z mojego powodu. Nie jestem aż takim potworem.

- Tym bardziej więc powinnaś zrozumieć, czemu nie mogę patrzeć, jak się miotasz. Nie sądzisz, że ...

? - Urwała, zaskoczona tym, co samo cisnęło jej się na usta.

- Ze co? Mów szybko, bo nie mamy zbyt wiele czasu.

Czy zdobędzie się na odwagę? Czy zawierzy swój los Adamowi, skoro od tak dawna nie musiała na nikim polegać, na nikogo się zdawać? A jednak wydawało się jej, że właśnie tak powinna uczynić. Oczywiście z całego serca pragnęła, by ciotka znalazła bezpieczną przystań, by wreszcie mogła się odprężyć, przestać się bać swego cienia. Niestety po tym, co zrobiła, nie było dla niej takiej szansy. Musiała ponieść konsekwencje swych nierozważnych czynów i nieodpowiedzialnych decyzji.

- Przekazała Adamowi pistolet, ciociu - powiedziała stanowczym głosem. - Niech trzyma bandytów na muszce, póki nie przyjedzie policja.

- Myślisz, że się zgodzi? - Spojrzała na nią z niedowierzaniem. - Przejmie ich, żeby mogła uciec?

- Nigdzie nie uciekniesz, ciociu. Najpierw porozmawiasz z szeryfem Roanem Benedictem, a potem z policją w Nowym Orleanie. Adam ma duże znajomości, skontaktuje się z prokuratorem, znajdzie ci najlepszego adwokata. W ogóle pomoże ci tak bardzo, jak tylko będzie mógł. A może naprawdę dużo.

- Laro ... - zaczął niepewnie.

- Pomożesz, prawda? - Spojrzała mu prosto w oczy. - Nie zostawisz jej na łaskę i niełaskę wymiaru sprawiedliwości? Zneutralizujesz wpływy mafii? Dopilnujesz, by wszystko działało się zgodnie z prawem? Nie pozwolisz, by moja ciotka, tak bardzo skrzywdzona przez swego męża, padła ofiarą zemsty mafii? Dopilnujesz też, że będę dzie jak najlepiej chroniona, czy to w więzieniu, czy poza

nim?

By zwyciężyła sprawiedliwość, Adam. By wyszło na jaw, kto tu naprawdę był ofiarą, a kto katem. By

kobiety, która broniła się przed brutalnością swego męża, nikt nie śmiał nazwać morderczynią. Bo

taka jest prawda, Adam, i ty zrobisz wszystko, by zwyciężyła. - Cały czas patrzyła mu w oczy. -

Wszystko w granicach prawa, oczywiście.

Gdy w jego niebieskich oczach pokazało się zrozumienie i akceptacja, a zarazem błysnęły wesołe

iskierki, poczuła ogromną ulgę.

- Powinnaś była zostać adwokatem - stwierdził z uznaniem. - Twoje argumenty są nie do zbicia.

- Czyli zgadzasz się .

- Tak ... Kim należy się wszelkiego rodzaju ochrona. Nie tylko przed mafią, ale i przed wymiarem sprawiedliwości.

- To znaczy?

- Masz rację, znalazła się w strasznej sytuacji i choć zabiła Belzonego, na pewno nie jest morderczynią. Jest ofiarą. W wymiarze sprawiedliwości obowiązują różne procedury, które mogą być

dla Kim zbawienne. Można na przykład wykorzystać tak zwany układ. W zamian za ujawnienie całej wiedzy o przestępczej działalności rodziny Belzonich ...

- Grubą księgę mogłabym o tym napisać - wtrąciła Kim.

- No właśnie. W zamian za tę wiedzę prokurator może odstąpić od oskarżenia o morderstwo, kontentując się przypadkowym zabójstwem, a nawet w ogóle zrezygnować z jakichkolwiek zarzutów, stwierdzając, że była to obrona konieczna wynikła z zagrożenia życia. Obiecuję, że jeżeli taki układ nie zostanie wynegocjowany, policja w Nowym Orleanie nigdy cię nie zobaczy. Gwarantuję moim honorem za twoje bezpieczeństwo.

Prawdziwy Benedict, pomyślała Lara. Był gotów zagrać na nosie całemu wymiarowi sprawiedliwości,

jeśli prokurator nie zaakceptuje jego warunków. Szantaż, bezczelny szantaż. Albo prokurator

przyklepie umowę, albo Adam ukryje Kim, wyśle ją na koniec świata, oczywiście łamiąc w ten sposób

prawo. Wiele słyszała o niesamowitych wyczynach mężczyzn z tej rodziny. Słusi jak Bóg przykazał, gdy jednak przekonywali się do jakiejś racji, działali po swojemu, nie bacząc na nic, a już na prawo w

szczegółności, bo tak nakazywał im honor.

- Słyszałaś, co powiedział Adam - zwróciła się do ciotki. - Jeśli przyjmiesz jego propozycję, nie będziesz już musiała uciekać. Możesz zadać śmiertelny cios rodzinie Belzonich ...

- Nie wiem, Laro. Nie znacie ich potęgi.

- Zaangażujemy nie tylko prokuraturę, ale i prasę. Osaczymy ich ze wszystkich stron ...

- Nie bądź naiwny, Adam! - przerwała mu Kim. - Można ich osłabić, wsadzić tego czy owego, ale oni

są jak niezniszczalny rak, wciąż się odradzają. I nigdy nie wypuszczają z rąk swojej własności. A kiedy wyszłam za Ernesta, stałam się właśnie tym. I wciąż należę do nich ... tak uważają. A ponieważ

zabiłam Ernesta, teraz muszę zginąć. Nawet gdyby sąd skazał mnie na śmierć, zrobiliby wszystko, by wcześniej wykonać na mnie wyrok. Należę do rodziny i przez rodzinę muszę być ukarana.

Rozumiesz?

- Jeśli pójdziesz na układ z prokuraturą, dopilnuję przez moich znajomych, by zapewnili ci nie tylko ochronę podczas śledztwa i procesu. Gdy będzie już po wszystkim, otrzymasz nową tożsamość i szansę na nowe życie. To chyba lepsze niż samotna ucieczka w nieznaną. Nic nie będzie już takie samo jak dawniej, nigdy nie będziesz całkowicie bezpieczna, ale proponuję ci najlepsze rozwiązanie.

- Nic nie będzie już takie samo ... - szepnęła Kim. - Śmierć Ernesta niczego nie zmieniła. Nigdy nie zaznam spokoju.

- Kim, nie mam prawa cię więzić - powiedział Adam. - Możesz postąpić, jak chcesz. Obiecałem

Whitakerowi, Śe doprowadzē ciē do niego, teraz jednak honor nakazuje mi postąpić inaczej. Proszē, wolna droga. - Wskazał ciemną ścianę lasu.

- MoŜesz teŜ oddać siē w rēce Roana, który zaraz tu siē zjawi, a ja natychmiast zaangaŜujē pewnego adwokata, zresztą mojego przyjaciela, by w twoim imieniu rozpoczął negocjacje w biurze prokuratora

okręgowego. Jeśli rozmowy pōjdą po twojej myśli, pojedziesz do Nowego Orleanu, jeśli nie, ruszysz na tułaczkę. Taka jest moja ostateczna propozycja.

- Szeryf na to pōjdzie? PrzecieŜ złamie prawo, ukrywając mnie przed prokuratorem.

- Co tam prawo. Zaręczyłem moim honorem, a Roan teŜ nazywa siē Benedict.

Kim utkwiała intensywne spojrzenie w Adamie. Lara wiedziała, co teraz siē dzieje. Ciotka starała siē przeniknąć jego myśli, odczytać prawdziwe intencje. Wreszcie powiedziała uroczystym tonem:

- Wierzę ci, Adamie. Wiem, Śe zrobisz wszystko, by zadbać o moje bezpieczeństwo i zapewnić mi wolność. Tę część twojej propozycji przyjmujē. Nie godzē siē jednak, byś łamał dla mnie prawo i nakłaniał do tego swojego kuzyna szeryfa. Pojadę do Nowego Orleanu, oddam siē w rēce policji ... pod twoją opieką oczywiście.

Lara odetchnęła głęboko, Adam równieŜ. - Nie zawiedziesz siē na mnie, Kim.

- Wiem ...

W tym momencie Demarius, który od dawna czekał na sposobny moment, ruszył na Kim, drugi bandyta rzucił siē na Larę, trzeci, najpotēŚniejszy, na Adama.

Rozległ siē strzał, Kim z krzykiem u padła, obok niej zwijał siē z bólu Demarius, bo kula strzaskała mu drugie ramię. Adam walczył zaciekle, tarzając siē po ziemi z przeciwnikiem. Lara miotała siē w uścisku trzeciego bandyty, kopała, gryzła, lecz szans nie miała Śadnych.

W sukurs przyszła jej Kim. Zerwała siē na równe nogi, chwyciła pistolet za lufę i z całych sił uderzyła

w skroń gangstera. Nieprzytomny mafioso osunął siē na ziemię .

- Pilnuj go! - krzyknęła Lara i w bojowym szale ruszyła na pomoc Adamowi, porywając z ziemi

kamień.

Miała jednak trudne zadanie, walka była bowiem tak zaŝarta i prowadzona w tak szaleńczym tempie,

ŝe prawie nie sposób było wymierzyć cios właściwej osobie. Wreszcie udało się jej walnąć kamieniem

w kolano bandyty. Oszłomiło go to na moment, co natychmiast wykorzystał Adam. Cios w ŝołądek, poprawka w szczękę - i było po sprawie.

Wynik walki był wręcz nieprawdo podobny: dwie z natury łagodne kobiety oraz przesiadujący całymi

dniami w gabinecie informatyk pokonali trzech szkolonych do brutalnych działań bandytów.

Sponiewierani nieszczęśnicy nie dość, ŝe pójdą do więzienia, nie dość, ŝe podpadną swoim szefom, to

jeszcze wystawią się na drwiny całej nowoorleańskiej mafii.

Adam najpierw upewnił się, ŝe Lara i jej ciotka są całe i zdrowe, potem wziął od Kim pistolet i spojrzał na trzech leŝących na ziemi bandytów. Ranny Demarius pojękiwał cicho, pozostali dwaj już oprzytomnieli, ale nie przejawiali ochoty do dalszej bijatyki.

W tym momencie z mroku wyłoniły się policyjne auta.

- Roan, nareszcie - powiedział Adam.

Po chwili bandyci zostali skuci i opatrzeni, a Demarius pod eskortą pojechał do szpitala. Ugaszono teŝ

wciąż tłące się płomienie przy domu.

Lara, witając się z szeryfem, powiedziała: - Dziękuję, ŝe zjawił się pan tak szybko.

- Och, jak widzę, poradziliście sobie bez nas.

- Pokiwał z podziwem głową. - Belzoni dostanie szału, gdy dowie się, kto załatwił jego grupę do zadań specjalnych.

- Mimo wszystko dziękuję. - Uśmiechnęła się z trudem. Wciąż była rozdygotana po dramatycznych przeŝyciach.

- Pani ciotka powiedziała przez telefon, że Adam ma kłopoty, więc nie marnowałem ani sekundy. -
Zwrócił się do kuzyna. - Witaj, Adam. Cieszę się, że tobie i paniom nic się nie stało.
- Było gorąco, ale mając takie wojowniczeki u boku, musieliśmy wygrać. Pamiętaj, nigdy nie zadzieraj z Kim Belzoni i Larą Kincaid, bo może się to źle skończyć.
- Będę pamiętał. - Roan uśmiechnął się, potem spojrzał na Kim. - Pani Belzoni, musimy porozmawiać.
- Wiem, szeryfie. Jestem do pana dyspozycji. Chciałabym jednak, by do czasu, aż zaczniesz reprezentować mnie adwokat, o moje interesy dbał Adam.
- Adwokat, oczywiście, ale Adam?
- Roan, dałem słowo, że Kim nie stanie się nic złego.
- Rozumiem, dałeś słowo. Jednak dla pani Belzoni będzie lepiej, gdy jak najszybciej zajmie się nią licencjonowany prawnik.
- Jasne, zaraz zadzwonię do mojego przyjaciela. - Rozmowa była krótka. Adwokat zgodził się, że będzie czekał na Kim na posterunku w Departamencie Policji w Nowym Orleanie.
- Kim czekały trudne przesłuchania i negocjacje z prokuraturą, a potem proces, w którym wystąpi albo w roli świadka koronnego, albo oskarżonej. Jej los był nie pewny, jednak miała duże szanse, by wyjść cało z tej trudnej i skomplikowanej sytuacji.
- Roan cały czas przypatrywał się Adamowi i Larze, wreszcie mrugnął do kuzyna i spytał:
- Hm, czyżby tak się sprawy miały?
- Być może. - Adam nawet nie spojrzał na Larę. - A jak się czuje Tary?
- Dobrze, dzięki, tylko to gigantyczne maleństwo mogłoby wreszcie zatęsknić za światem, a nie lenić się w jej brzuchu.
- Nie może się już doczekać, co?
- Termin był dwa dni temu, a małemu nadal się nie śpieszy - roześmiał się szeryf.

Lara nie mogła się nie uśmiechnąć, choć jednocześnie poczuła w sercu ukłucie zazdrości, słysząc w jego głosie miłość i czułość wobec Sony i nienarodzonego dziecka.

- A więc to będzie chłopak?

- Jasne, następny szeryf Tunica Parish.

- Niech pan wraca do Sony, potrzebuje pana - powiedziała Lara. - I jeszcze raz dziękuję.

- Tak, oczywiście. Pani Belzoni, zaraz ruszamy. Wszystko będzie tak, jak uzgodniliśmy.

- Oczywiście, szeryfie.

Kim pojechała się z Larą i Adamem, a potem wsiadła do policyjnego wozu.

Kiedy zostali sami, w milczeniu ruszyli do domu.

- Nie będziesz tu bezpieczna - powiedział wreszcie Adam.

- Przecież już po wszystkim.

- To dopiero początek, Laro. Jesteś na wojennej ścieżce z mafią.

- Och, jak coś będzie się działo, zadzwonię do szeryfa Benedicta.

- Jak wszyscy w tym okręgu. Ale miej nad nim litość, właśnie oczekuje potomka. Mam lepszy pomysł.

- Tak?

- Mogłabyś pojechać ze mną.

W głębi ducha liczyła na to, ważne jednak, czym kierował się Adam, wysuwając taką propozycję.

Tylko altruizmem - czy też czymś więcej?

- Adam, znamy się zaledwie od kilku godzin.

- Potrzebujesz ochrony. Mówiłem ci już, jesteś na celowniku. Twoja ciotka będzie zeznawać przeciwko mafii, więc na pewno spróbują cię porwać. Twoje życie za milczenie Kim.

- A jednak uważam, że przeprowadzka do ciebie to zbyt radykalne rozwiązanie.

- A kto tu mówi o przeprowadzce?

- Aha ... rozumiem - skwitowała chłodno.

- Nic nie rozumiesz. Pojedziemy do mnie później ... oczywiście, jeśli się na to zgodzisz - powiedział ciepło.

W tym momencie dojrzała myśli Adama, wniknęła w jego uczucia. On też doznał nagłego olśnienia.

To, co ujrzeli, bardzo ich ucieszyło.

Magiczna chwila minęła i rozmowa potoczyła się dalej jakby nigdy nic.

- Muszę się zastanowić.

- Oczywiście. A teraz zapraszam cię do Grand Point na rodzinny zjazd Benedictów. To rzadka okazja zobaczyć nas wszystkich razem.

- Hm, interesujące. Tyle opowieści o was krąży. O waszych przygodach można by pisać książki.

- Może kiedyś jakiś autor zainteresuje się nami. W każdym razie zanim o nich przeczytasz, będziesz mogła poznać Kane'a i Luke'a z rodzinami, Claya z Soną i córką, a także pogadasz sobie z Roanem,

o ile oczywiście Tora jeszcze poczeka z porodem.

- A będzie Wade? Słyszałam, że to bardzo intrygujący i tajemniczy mężczyzna - droczyła się z nim.

- Słyszałam, że od niedawna jest zajęty.

- Och, jaka szkoda. Ale jakoś to przeżyję.

- Też mam taką nadzieję. Cóż, pozostaje ci moje towarzystwo.

- Jeszcze nie wyraziłam zgody.

- Oj, chyba jednak tak. - Uśmiechnął się z łobuzerskim wdziękiem, że aż miała ochotę go pocałować.

- Bo jesteś taki zdolny, wyjątkowy i nie sposób ci się oprzeć?

- Owszem.

- Niestety, jesteś równie irytujący, apodyktyczny ...

- Ty równie. A także cudowna, mądra, odważna, piękna. - Spojrzał jej głęboko w oczy. - Nie wyobrażam sobie życia bez ciebie.

Były to oświadczenia. Uwierzyła w ich szczerość, poczuła się szczęśliwa. Nagle jednak ogarnęły ją wątpliwości.

- Też cię kocham, Adam. - Niczego w swym życiu nie była tak bardzo pewna jak właśnie tego. -
Lecz nie nadaję się na panią Benedict.

- A to niby czemu?

- Wyobrażam sobie, że wszystkie panie Benedict to prawdziwe damy z Południa. Piękne, bogobojne i
posłuszne.

Adam wybuchnął śmiechem.

- Piękne z całą pewnością, ale bogobojne i posłuszne? Laro, naprawdę nie masz pojęcia, o czym
mówisz. Wiesz, dlaczego nasza rodzina jest tak wspaniała? Bo bierzemy sobie syny niezwykle, pełne
temperamentu, samowolne i niezależne. I dbamy o nie, nie próbując ich zmieniać, za to ofiarowujemy
im miłość i cieszymy się ich miłością. Tylko mój ojciec okazał się głupcem, no i na starość został
sam

jak palec. ... Kane, Luke, Clay i Roan to straszni twardziele, ale w domu są partnerami, na dobre i
złe.

- Spoważniał. - Nie tylko bierzemy syny. syny biorą również nas.

Zabrzmiało to cudownie. Był jednak jeszcze jeden problem.

- Adam, nie jestem całkiem ... normalna.

- Jeśli chodzi o te wizje ... o to, co przeżyliśmy razem w lesie ...

- Więc byłeś tam ze mną!

- Tak, Laro. Jestem informatykiem, wierzę w matematykę i fizykę, przez długie lata elektronika była
moim jedynym prawdziwym światem. Jestem pewien, że to, co się między nami zdarzyło, też jest
prawdą, a nie ułudą, i kiedyś nauka to wyjaśni. Biochemia, neurologia, psychologia, to zadanie dla
specjalistów z tych dziedzin. Po prostu posiadamy dodatkowy zmysł, w który wyposażała nas natura.

- śladnej magii? - Odetchnęła z ulgą. Zawsze uważała, że tak zwane nadprzyrodzone zdolności są

czymś jak najbardziej naturalnym, tyle że ludzie jeszcze nie poznali ich istoty.

Adam patrzył na nią rozkochanym wzrokiem. - Mnóstwo magii, Laro. Ty jesteś moją magią.

Wreszcie padli sobie w ramiona.

Nie potrzebowali już wizji, by spełniły się ich marzenia.

Nieśpiesznie weszli do domu, uroczyści, milczący. Czekala ich magiczna noc na jawie.

Magiczne życie w realnym świecie.